

Egzotyzm Indii Zachodnich

Ze wszystkich popularnych odwiedzianych przez turystów i wczasowiczów zakątków naszego globu, Indie Zachodnie należą bezsprzecznie do najpiękniejszych.

W równym stopniu tak jak ich naturalne piękno, zasługuje na uwagę wczesna historia Indii Zachodnich, która niestety nie zyskała dotychczas należytego rozgłosu.

W roku 1492 Krzysztof Kolumb dokonał pierwszego lądowania na małym wyspie należącej do archipelagu Bahama, skąd wyruszył dalej na zachód, odkrywając dalsze ugrupowania wysp, a które, przeświadczony, że odkrył najkrótszą drogę do Indii, nazwał Indiami Zachodnimi. Ośniony przez świeżo odkryty, nowy otaczający go świat, Kolumb pisał (pod wrażeniem) w swoim okrętowym dzienniku: „Ziemia tutaj leży wysoko nad poziomem morza, jest

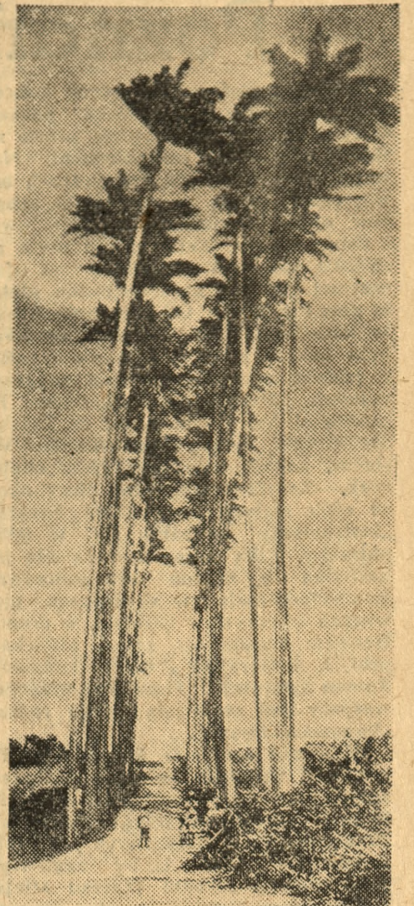
kowych Trynidadu. Nawet klimat obfituje tam w rozległe różnice, od góskiego chłodu do tropikalnych upałów spieczonych słońcem plaż morskich.

KUBA

Tak jak Hawana jest sercem Indii Zachodnich, słynna promenada Malecon jest sercem Hawany, stolicy Kuby. Z jednej strony promenada ta graniczy z rozbijającymi się o bulwar falami zatoki, z drugiej z długim rzędem wirtuoznych budynków i hoteli, z których przede wszystkim korzystają turyści całego świata. Kuba dzisiaj przypomina chwilami przedwojenną Paryż. Turyści masami zaopatrują się w wolne od ciepła perfumy francuskie, torebki i pantofelki ze skóry aligatorów. Zajadają się młodymi ośmiornicami podawanymi z cudownie smaczną i przyprawioną potrawą, nazywaną się w języku miejscowym paella, na którą składają się również pewne gatunki skorupiaków, kurczęta i parowany ryż z pigmentem. Biorą również udział w tubylczej grze zwanej *jai alai*, względnie w popularnych tam walkach kogucich odbywających się na małych arenach, lub też udają się w wycieczkami do przodujących na wyspie wytwórni rumu, gdzie są przez gościnnych właścicieli, goszczeni rumem i arakiem. W ciągu dnia korzystają z rozległych słonecznych plaż morskich, pływając wzdłuż kilometrów złotych wybrzeży. Zgrywiają się często w miejscowym kasynie, względnie szukają rozrywki w tubylczych kabaretach, lub kawiarniach, gdzie miejscowe orkiestry wygrywają rytm rumbi i carioki do świtu.

TRINIDAD

Najbardziej odległą wyspą Zachodnich Indii jest Trinidad — duża o klimacie quasi — równikowej, leżąca najbliżej wybrzeża Wenezueli. Wyspa ta została nazwana imieniem św. Trójcy, ponieważ pierwszym widokiem, na jaki Krzysztof Kolumb natknął, zbliżając się do wyspy, były trzy wysokie wierzchołki górskie. Trinidad jest konglomeratem konwencjonalnego o wykintnych manierach życia brytyjskiej kolonii oraz różnorodnego prymitywizmu, będącego spadkiem i wynikiem podbojów hiszpańskich i dość licznej murzyńskiej, chińskiej i wschodnio-indyjskiej zamieszkałej tam ludności. Ponad glinianymi chałkami tubylczych wsi wznosi się autentyczna świątynia hinduska, a wśród budynków stolicy Trinidadu, Port of Spain, reprezentujących budownictwo kolonialne epoki wiktoriańskiej, wyodrębnia się muzułmański meczet. Słynna muzyka Trinidadu, tzw. Calypso, jest ponurą przytaczającą mieszaniną orientalnych i afrykańskich dźwięków. Do najbardziej ulubionych



Palmy na wyspie Barbados.

rzeczywiste fakty dotyczące historii samej Cytadeli, przewodnicy w każdym razie zapewniają, że pod Cytadelą spoczywa do dzisiaj ukryty olbrzymi skarb, że 10 tys. żołnierzy wycionęło z wycieńczenia ducha wciągając na strzelnicę fortu 360 ciężkich brązowych dział i że Christoph, chcąc wypróbować lojalność swoich oddziałów, pędził je często przez okopy i fosy Cytadeli. Panowanie Henri panowało zaledwie 9 lat. Nie chcąc doczekać się finału rewolwy, jaką wznicieli jego poddani, odebrał sobie życie, strzelając do siebie złotą kulą.

JAMAJKA

Jamajka przypomina jakby jedną olbrzymią cieplarnię, obfitującą w rzadkie owoce i nieprawdopodobnie piękne kwiaty. Gdy Krzysztof Kolumb w roku 1494 dotarł do bizogów Jamajki w swojej drugiej wyprawie do Nowego Świata, notował w swoim słynnym dzienniku: „Jest to najbardziej bajeczna wyspa, na jakiej kiedykolwiek spojrzało ludzkie oko. Tutejszy kraj obraz górski, zdaje się dotykać stropu niebieskiego.”

Dzisiaj wysokie Góry Błękitne, które stanowią kręgosłup całej wyspy, są tak jak przed wiekami szczytami ozdobione najpiękniejszą kolekcją kwitnących roślin i drzew w całych Indiach Zachodnich, do której należą np. olbrzymie drzewa bawełniane, których nasienie zawiera włókniście składniki nadające się do przedenia, palmy kokosowe, drzewa chlebowe i bananowe, rośliny sarsaparilla i imbiru. Doliny obfitują w mało znane smaczne gatunki owoców, jak np. guavas, mango, papaya, które najczęściej przeznaczają się na konserwy.

Jakkolwiek miasta wybrzeża Jamajki są nieznośnie gorące, góry mają klimat orzeźwiająco chłodny i są pełne kojącej oko zieleni, oraz niezliczonych kaskad wodospadów i rzeczułek, spływających do morza. Długoogoniaste plectwo o zielonym i czerwonym upięzieniu gnieździ się w orchideach, porastających gałęzie wysokich drzew. Szkarłatne bukiety kwiatu hibiskus nadają lasom i dżunglom Jamajki niesłychanej barwy. Ale więcej blasku i błyskotliwości od ptaków i kwiatów, mają niezliczone gatunki ryb tropikalnych, baraskujących w przejrzystej płytkiej wodzie wśród małych białych raf koralowych.

E. Sz.



Rzeczający wodospad górski, najpiękniejszy na wyspie wpada do morza Karaibskiego w pobliżu rzeki Ochos Rios. Znajdując się na Jamajce liczne wodospady, zawdzięcza swoje istnienie niezliczonym źródłom góskim.

Wszystkie zdjęcia autora



Wysoko w górach Jamajki, rzeka Rio Cobre, obfituje w skuteczną przynętę do łowienia ryb, którą tubylcza niewiasta (na zdjęciu) stojąc po kolana w rzece wylwia spod kamieni rzecznych. Na pierwszym planie córka jej przechowuje zdobycz w liściu wielkości stoniowego ucha.

poprzerzynana grzbietami górkimi i piętrzącymi się szczytami, pokryta gęstymi lasami o drzewach tysięcy odmian, gatunków, postaci i kształtów... drzewa te nigdy nie tracą swoich liści... pomiędzy drzewami odbywają swoje koncerty słowiki... poza tym ziemia ta obfituje w kopalnie złota.”

Kolumb odkrył również, że niektórzy czerwonoskórzy tubylcy palili (w znaczeniu obecnego palenia tytoniu) ciekawą roślinę nazywaną tam *cohoba*, wchłaniając jej dym przez tubę o nazwie *tabaco*. W ten sposób, obdarzając roślinę tę nazwą *tuby*, zapoznał swoich ziomków z oryginalnym i nieznanym w Europie zryczałem palenia tytoniu.

Jakkolwiek Indie Zachodnie zostały odkryte w imieniu królowej Izabeli i króla Ferdynanda Hiszpanii, inni monarchowie europejscy nie zlekali i nie omyślili wysłać tam również swoich ekspedycji, celem zabezpieczenia i zagwarantowania swoich praw terytorialnych do złotych wysp. Przez następne 300 lat, Indie Zachodnie stały się odległą od terenu europejskiego sceną, gdzie narody Europy, walcząc o wpływy, wzajemnie się mordowały a ludność tubylczą zamieniały w niewolników. Raleigh i Drake, Balboa i Cortez zarzucali swoje kotwice w ocienionych palmami zatokach tych wysp, używając ich jako baz do dalszych zaborczych wypraw i awantur w Nowym Świecie. Przybywali tam rycerze i mnisi, żołnierze i piraci bądź to w celu zagarnięcia jak największej ilości złota, bądź też w celu głoszenia chwały jedynego Boga.

Dla dzisiejszych turystów, którzy przelatują z Miami na Florydzie na Kubę w ciągu 90 minut, Indie Zachodnie są niewyczerpanym źródłem atrakcji od atmosfery kosmopolitnej bez troski Hawany, do nieprzebranych dżungli Jamajki, od niesamowitych fantastycznych ruin Haiti, do wariacji języ-

Na zachodzie niebo granatowe, komary i muchy tną niemiłosiernie. Będzie burza. Błyskawice przeszywają niebo. Nawet otwierać nie warto odbiornika. Wyciągnij harmonijkę ustną i zagraj sobie. Będziesz miał muzykę. Przecież wciąż się niebo nie będzie boczyło. W tym roku słaba nadzieja. Już w maju zaczęło się burzami gradowymi. Może trwać przez całe lato. Uczni wymyślą jakieś plany na słońcu dla wytłumaczenia, albo roje planetarne.

Sprzedaj odbiornik, kup sobie kajak i Wartą spław do morza... do krainy komarów w Międzyzdrojach!

Choć burza huczy...

Lecz na bok żarty! Otóż można słuchać radia, z przyjemnością, nawet latem nawet podczas samej burzy. Odgadujesz moje myśli. Na pewno reklama głośników radiowęglowych!

(Dokończenie na str. 4)

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 27 Głosu Wielkopolskiego

FRANCISZEK CIERNIOCH

Spacerem przez eter Radio z drutem czy bez drutu...

Autor, specjalista z dziedziny radiofonii przewodowej, przedstawia dzisiejszy stan radiofonii popularnej i obrazuje wszelki współczesny techniki, mierzące do zapewnienia jak najlepszego odbioru radiowego.

Znużony całodzienną pracą — pragniesz odpocząć, odetchnąć. Włączasz odbiornik radiowy. Przebierasz wśród stacji, szukając muzyki, której jesteś zwolennikiem. Wybrałeś. Wspaniale gra orkiestra symfoniczna... wieczór letni, odpoczywasz.

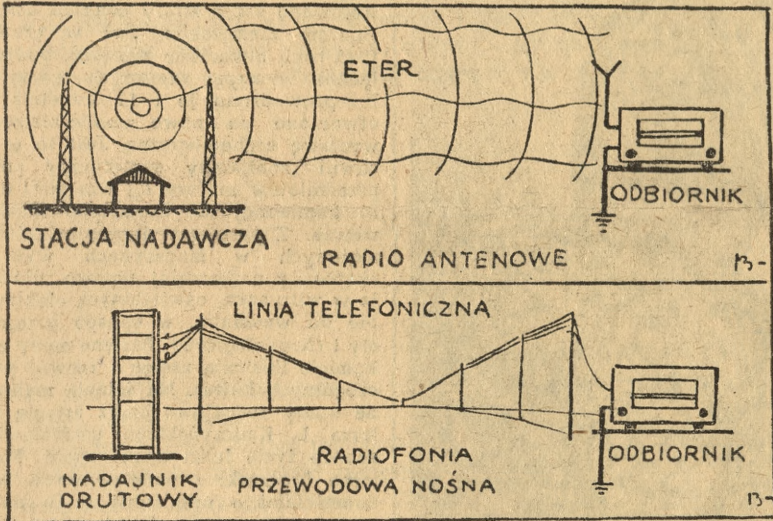
Trrrrach ciaaach... ciaaach... Symfonia przerwana. Coś pruje się i rwie w głośniku. Pró-

chcieliby bez drutu. Samoloty, okręty, propaganda, telewizja, poczta, radar!

Trudno przecież, aby samolot ciągnął za sobą w górę druty, które łączyłyby go z lotniskiem. Albo okręt przywiązany do portu macierzystego. Ci muszą bez drutu!

Wiesz ile odbiorników radiowych jest na świecie? A chciałbyś wiedzieć? Ja również. Jest na pewno dużo. Więcej niż milion. Więcej niż 25 milionów.

Zajrzyj do „Rocznika Statystycznego”, albo napisz do „Problemów”. Niech się głowią. Otóż choćbyśmy znaleźli jeszcze nowe tory, to miałyby one taką „szerokość”, że nie ujechałbyś na nich swoim przeciętnym aparatem odbiorczym.



Schematyczne porównanie systemu radiofonii antenowej i przewodowo-nośnej

bujesz przejść na odbiór innej stacji. Darnemże zabieg!

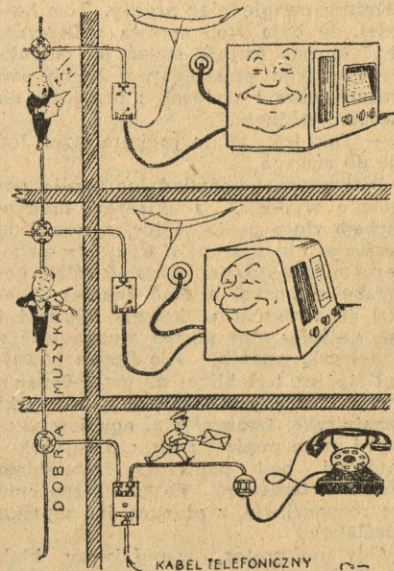
Odbiór stacji zarówno zagranicznych jak i krajowych uniemożliwiony wskutek silnych wyładowań atmosferycznych. Będzie burza. Silne wyładowania uniemożliwiają odbiór, słabsze denerwują przy słuchowisku.

Andrzej mieszka w śródmieściu. Nie może korzystać z radia nawet przy spokojnej pogodzie. Tramwaje i motory, trzaski, iskrzenia i jeden szum w głośnikach.

Kiedyś słuchałeś programu wieczornego stacji lokalnej. Jak na złość jakaś syrena fabryczna czy inne licho stało na antenie. Dzwoniłeś na stację. Wyjaśnili naukowo: Interferencja, to jest przeszkoda spowodowana przez zagraniczną stację pracującą na zbliżonej długości fali. Stąd ten przykry gwizd, jaki towarzyszył odbiorowi nawet stacji lokalnej. Wyjaśnili, że można by złą zaradzić zwiększając moc stacji. Potrzeba by na to ileś tam „kilo waty” w antenie. A skąd to wziąć? Można by również wybrać inną długość fali radiowej dla stacji. Ale tych fal podobno właśnie brak. Wszelkie rozsątkowane przez wojnę Sam zresztą miarkujesz, że tam coś z tymi falami krucho, bo nawet w dobrym odbiorniku chce kilku „zagraniczników” gadać naraz. Stacje przeszkadzają sobie nawzajem, siedząc jedna na drugiej. Spychają się nawzajem z torów radiowych, gadając jeden przez drugiego

Słyszalesz, że gdzieś tam skonstruowali aparaty radiowe „bezsmerowe”. Podobno w Anglii. Nie byleś, nie sprawdziłeś. Zresztą niechby nawet. Nowe aparaty, na nowych zasadach oparte. No dobrze, ile taki aparat kosztuje?

A zresztą co zrobisz z tym, który z trudem zdobyłeś. I owe miliony innych słuchaczy. Pięknie, jedna, dwie bezsmerowe i bezstrzaskowe stacje. Można by wybudować. Niech nareszcie będzie od-



Ten sam przewód kablowy obsługuje zwykle rozmowy telefoniczne i przenosi treść radiowych audycji — równocześnie.

biór — że proszę posłuchać! Ale te miliony odbiorników. Prelegent ze skrzynki technicznej mówił zdaje się kiedyś, że dla tej jak to powiedział — bezsmerowej — modulacji częstotliwości — trzeba by do każdego dzisiejszego super-a dodać dwie lub trzy lampy radiowe. Gdyby to chociaż żarówkami oświetleniowymi, które dostaniesz w każdym... związku zawodowym.

Otwórz teraz odbiornik, może już nie trzeszczy.

Elektryczna ślizgawka

Pamiętasz taką przekładankę prof. Ligonia: audycje dwóch stacji; gimnastyka poranna i recepty dla pań domu. Już wtedy było źle w eterze. Silną stacją krajową trudno zepchnąć z toru, zadusi ona zagranicznego słabeusza. Choćby się chciał ślizgać po tym samym torze.

Tylko, że właśnie te silne stacje są drogic. No i te elektryczne ślizgawki. Trzeba by je konieczniej rozszerzyć, stworzyć nowe tory.

Nie masz jednak pojęcia ile tych torów rzeczywiście potrzebali Wszyscy

Czego dokonała Poznańska Filharmonia?

A więc zakończył się sezon koncertowy najmłodszego „dziecka” poznańskiej muzyki. Dobrze będzie przeto zastanowić się nad osiągnięciami. Najwymowniej w takich przypadkach mówią cyfry, bo są ze wszystkich sposobów omówień najbardziej obiektywne i dopiero przy takim całorocznym rachunku sumienia wychodzą na jaw czasami całkiem nieoczekiwane efekty in plus i in minus. Od razu jednak warto nadmienić, że owych „minusów” było bardzo mało a i te nie wynikały z jakichś zasadniczych win organizacyjnych. Dyrektorem Filharmonii Poznańskiej był i jest nadal dr Tadeusz Szeligowski, dyrygentem Stanisław Wisłocki, sekretarzem mgr Piotr Olejniczak. Zespół orkiestralny liczy około 60 osób stałych muzyków. Niektóre „instrumenty” angażuje się w miarę potrzeby. Taką doogażowaną siłą jest harfistka p. Halina Winiewiczówna. Koncertmistrzuje w skrzypcach pierwszy Mieczysław Giżelski, w drugich Ireneusz Bogajewicz, zaś w altówkach prof. J. Sobierański a we wiolonczelach Roman Czarnecki. Poza nimi właściwie wszyscy już stają się swego rodzaju „koncertmistrzami”.

W sumie orkiestra Poznańskiej Filharmonii wystąpiła w ciągu minionego sezonu (od października) 31 razy. Na tę ilość pokazań występów złożyło się: 20 koncertów „wieczornych”, 3 także „wieczorne”, ale jakby zamówione przez pewne ośrodki (Zarząd Miejski i Zw. Naucz. Polskiego), więc dla zwykłej publiczności niedostępne, 3 poranki niedzielne, 2 audycje dla młodzieży szkolnej miasta, 1 akademii, 1 koncert we fabryce Cegielskiego i jeden koncert gościnny w Szczecinie. O tych dwóch ostatnich imprezach pisałem przed tygodniem. O ilości prób właściwie pisać nie warto. Samo się przez się rozumie, że próby być muszą a ich ilość jest dla słuchacza obojętna. Tyle tylko można rzec, iż odbywają się codziennie i trwają trzy godziny. Oczywiście za wyjątkiem niedziel i świąt, choć i to nie zawsze.

Na podium kapelmistrzowskim przewinęło się aż 11 dyrygentów! To chyba rekord w Poznaniu. Z ich liczby pierwszeństwo przypada Wisłockiemu, który dyrygował 18 razy 81 utworami. Po nim następuje Arnold Rezler z Bydgoszczy z trzema występami i 14 utworami. Po dwa razy dyrygowali: Zygmunt Latoszewski i Marian Obst. Po jednym razie wystąpili: Franco Autori (z Ameryki), Milan Horvat (z Jugosławii), Artur Malawski, Witold Rowicki, Jan Krenc, Tadeusz Wilczak, Zdzisław Górzynski. Warto wspomnieć, że po raz pierwszy ujrzelśmy młodych polskich kapelmistrzów. Ich wyniki artystyczne wymownie dowodzą, że sztuka dyrygencka na Grzegorz Fitełbergu jeszcze się, nie kończy w Polsce. Dopiero zaczyna!

Solistów wystąpiło 21. Trzy osoby z zagranicy, mianowicie Bruchollerie (Francja), Koch (Belgia) i dell Agnola (Italia). Pianistów grało dwunastu! Oczywiście i może niezbyt właściwa przewaga. Grali zatem: Koczalski, Szpiński, Bruchollerie, Lisicki, Ekier, Szymonowicz, Rezler, Woytowicz, Padlewski, dell Agnola (najbardziej) „nieszcze-

śny”, Hoffman, Bilińska-Riegerowa. Skrzypków zaledwie czterech, a mianowicie: Jahnke, Koch, Giżelski i Wochniak. Po jednym z wiolonczelistów (Danczowski) i waltornistów (Zimoląg). Nie licząc słuchaczy Państwowej Wyższej Szkoły Operowej mieliśmy na estradzie czworo śpiewaków: Sowińska i Szabrańska, Adamczewskiego i Gardę. Dwukrotnie wystąpiły dwa mieszane chóry poznańskie, mianowicie „Harmonia” i „Towarzystwo Muzyczne”. Oba przygotował do odpowiedzialnej partii „Stabat Mater” Szymanowskiego — Karol Broniewski.

W sumie odegrano i odśpiewano aż 142 utwory, z czego na „słowiańszczyznę” przypada ogółem 91 dzieł. Reszta (51) — to kompozycje francuskie, austriackie, niemieckie, norweskie, włoskie, amerykańskie. Wobec obowiązującej i mądrej polityki kulturalnej taka proporcja jest bardzo korzystna. Gdyby dokładnie przyglądać się owej „słowiańszczyźnie” — otrzymamy takie rachunki: polskich dzieł wykonano 61. Rosyjskich — 22, czeskich niestety tylko 7, a serbskich, jeszcze bardziej niestety, tylko jedno a i to bardzo nie-reprezentacyjne („Uwertura tragiczna” Bersy). Gdy o muzykę czeską chodzi, to była wyraźnie pokrzywdzona, gdyż na wspomnianych siedem wykonanych jedno odnosi się do „Karnawału” Dwořzaka i aż 6 na zawsze miła, ale już nadto ograna „Weltawe” Smetany. Na Smetanie i Dworczaku nie koniec muzyce czeskiej!

Wypada wreszcie wymienić kompozytorów, których dzieła słyszeliśmy w sezonie. Więc: Chopin, Różycki, Poradowski, Szeligowski, Wisłocki, Kurpiński, Karłowicz, Szalowski, Szymanowski, Spisak, Noskowski, Krzemieński, Moniuszko, Maklakiewicz, Anonim polski z XVI wieku, Szarzyński, Mielczewski, Jarzębski, Ekier, Czajkowski, Strawiński, Glazunow, Borodin, Szostakowicz, Chaczaturian, Prokofiew, Glinka, Ljadow, Mussorgsky, Smetana, Dworzak, Bersa, Beethoven, Mozart, Haydn, Berlioz, Geminiani, Corelli, Torelli, Bach, Saint-Saens, Brahms, Grieg, Ravel, Debussy, Meyerbeer, Schubert, Weber, Mendelssohn, Lully, Mahler, dello Joio. W sumie tedy inponująca ilość 52 twórców.

Po raz pierwszy w Polsce były wykonane na poznańskich koncertach następujące dzieła: Prolog z opery Lullyego „Alcesta”, „Pieśni o naturze” Szeligowskiego, „Nokturn symfoniczny” Wisłockiego, „Uwertura tragiczna” Bersy, „Pieśń o burmistrzance” Maklakiewicza (z orkiestrą!). O poznańskich premierach właściwie nie powinno się pisać. Wyniki zapewne małe „kompromilacje”, że takiego to a takiego utworu do tej pory w Poznaniu nie grano.

Czego sobie i Poznańowi należy życzyć na sezon nowy? Więc zgrania orkiestry, co niewątpliwie nastąpi dzięki jednemu w Polsce w tej skali „obozowi letniemu” w Łagowie na Ziemi Lubuskiej. Przez dwa miesiące cały komplet orkiestry spędzi tam wakacje i będzie w codziennych próbach nie zakłócających „troska” o wieczorny koncert przygotowywał nie tylko repertuar ale co najważniejsze owo właśnie zgranie się wewnętrzne. Cała organizacja

tego „Łagowa” spoczywa na barkach mgr. Piotra Olejniczaka. Życzyć by sobie należało większego udziału chórów poznańskich. Są one na tyle przygotowane, że poddać będą mogły wykonaniem „Sonetów krymskich” a może i „Widm” Moniuszki, jego „Ballady o Florianie Szarym”, kantaty Górczyckiego „Illuxit sol”, Poradowskiego „Włosny”, Griega „Nowej ojczyzny”, Mozarta „Requiem”, Młodziejewskiego „Legendy o Janosiku”. W programach powinno być się uwzględnić mniej znaną muzykę słowiańską, więc pierwsze trzy symfonie Czajkowskiego, symfonie Szostakowicza, współczesne dzieła Jugosławii (Gotovac), nowsze i starsze (byłe nie ograne!) dzieła czeskie... no i „obiegowy” repertuar wielkiego świata. O „Święcie włosny” Strawińskiego jeszcze marzyć nie można... i w taki oto sposób odwieka się poznańska premiera tego dzieła, które w pewnym sensie przeszło do historii muzyki światowej.

Wiadomo mi skądinąd, że członkowie orkiestry podjęli się wykonania dwunastu koncertów kameralnych, które przyniosła dzieła pisane na kombinacje wszelakiego typu instrumentów. W tym „tuzinie” znajdzie się miejsce na cykl czterech koncertów z dzieł polskiej kameralistyki od Lessla po Szeligowskiego. Z niecierpliwością oczekujemy tedy początku sezonu. Odbędzie się uroczyste w piątek 1 października w auli, koncerty bowiem odbędą się będą nie w poniedziałki a w piątki. Czekamy, czekamy!

Muzea w woj. poznańskim

Zabytki ruchome (architektoniczne) i ruchome (muzea i wszelkiego rodzaju zbiory) cieszą się w Polsce ze względu na ich obecną rzadkość, a tym samym poważny wzrost wartości — wielką opieką Rządu. Sumy, które na nie poprzez Naczelną Dyрекcję Muzeów i Ochrony Zabytków łoży — są bardzo znaczne. Kilka kluczowych muzeów w Polsce zostało już upaństwowionych. W województwie poznańskim rozbudowuje się ich sieć, a już istniejące otrzymują znaczne subydia pieniężne lub depozyty eksponatów państwowych. Oto krótki rzut oka na ich powojenny rozwój.

1. MUZEUM WIELKOPOLSKIE. Znaczną część jego eksponatów wywieźli Niemcy, cofając się, do salin w Grassleben, inne pokrywali po kościołach w mieście i na prowincji, np. w Pniewach, część zaś znieśli do bunkrów i piwnic pod muzeum. Tak więc zbiory zostały rozproszone, budynek w czasie wojny ucierpiał znacznie, zwłaszcza jego urządzenia wewnętrzne, nie licząc uszkodzeń zewnętrznych. Już jednak z końcem lutego 1945 roku, czyli natychmiast po ustąpieniu Niemców z gmachu, mgr Michałowski, który wojnę spędził w Poznaniu, zabrał się do zabezpieczenia gmachu i tego co się w nim jeszcze znajdowało oraz z pomocą nielicznego personelu polskiego, zaczął oporządkować bunkry, piwnice i zaraz po zawarciu pokoju zwoził eksponaty. Była to praca trudna i żmudna, ale postępowala tak szybko, że już 3 czerwca

tegoż roku zostało otwarte dla publiczności część muzeum, mianowicie galeria malarstwa obcego, rzeźba i malarstwo gotyckie, a w lipcu doszło do tego galeria malarstwa polskiego. 3 czerwca również otworzono wystawę plastyków poznańskich, która dała początek szeregowi wystaw przechodniczych. W 1946 roku nastąpiła rewindykacja części zbiorów wywiezionych do Niemiec, były to pozycje poważne: obrazy, grafika, rzemiosło artystyczne, numizmatyka, książki. Nieco później zrewindykowano 28 cennych skrzyń wywiezionych przez Niemców do Ślązaków na Śląsku. W roku 1947 w kwietniu otwarto już dalszą część muzeum po gruntownym i starannym remoncie budynku. Przez depozyty państwowe i Tow. Przyjaciół Nauk oraz dalsze rewindykacje zbiory wzrosły znacznie, aczkolwiek część ich pozostała nadal w Niemczech. Muzeum urządziło w r. 1945 — 6 wystaw przechodniczych i miało frekwencję 20 428 osób; w roku 1946 — 7 wystaw i 55 787 osób; w roku 1947 — 6 wystaw i 76 380 osób; w roku 1948 już 5 wystaw i do 1. VI. 31 914 osób.

Wśród zwiedzających, trzeba zaznaczyć, było dużo wybitnych uczonych z zagranicy. Galeria liczy obecnie 2363 pozycje. Nie wszystkie jednak, z powodu szczupłości miejsca mogą być wystawione. Wobec tego już dziś muzeum projektuje znaczne rozbudowanie gmachu. Kustoszem naczelnym jest mgr Kępiński, konserwator wojewódzki.

2. MUZEUM ARCHEOLOGICZNE. Złożone w Poznaniu w r. 1857, uległo również zniszczeniu. Niemcy porozwizali eksponaty: do kościoła w Tomicach, do Domu Starców w Sremie, do Baranowic, a 14 najcenniejszych skrzyń do Grassleben. Prof. Józef Kostrzewski przedwojenny i dotychczasowy kustosz muzeum wraz z synem swym mgr. Bogdanem Kostrzewskim przeprowadzili energiczną zwózkę i rewindykację — dzięki czemu zdołali w znacznej części zbiory już skompletować. Dużo książek z biblioteki przepadło, ale powetowano sobie straty cennym księgozbiorem niemieckim. Już w grudniu 1945 roku otworzono muzeum, budynek jednak wymagał znacznych remontów. Przeprowadzono je i 11 kwietnia br. utworzono na nowo zmodernizowaną wystawę archeologiczną. Jest to w tej chwili znakomity syntetyczny pokaz przedmiotów kultury od wczesnej epoki kamiennej do wczesnego średniowiecza. Z paruset tysięcy przedmiotów złożonych w magazynach wybrano eksponaty najbardziej typowe, ułożono je w witrynach, oświetlonych elektrycznie od wewnątrz, w sposób przejrzysty i chronologiczny. Barwne mapy znakomicie ilustrują zasięg i rozwój poszczególnych kultur. Na ścianie malowane sceny rodzajowe przez artystę malarza L. Kapczyńskiego uzmysławiają sposób życia ludzi danej epoki. Popularne broszurki z podetawowymi wiadomościami o prehistorii tania nabyć można przy wejściu. Jest to w tej chwili nieduże, ale wzorowe muzeum popularyzujące wiedzę.

3. Poznań posiada jeszcze MUZEUM PRZYRODNICZE. Amelia Łączyńska



René Chateaubriand — wg portretu de Girode'a

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

W DRODZE DO KARIERY

(Fragm. powieści „Płonący wrzesień”)

Paszla i Cieślak pracowali w ministerstwie sprawiedliwości w wydziale ułaskawień, jako podprokuratorzy. Za niedawnych, kawalerskich czasów Gadowskiego schodzili się często w jego pokoju, posiadającym oddzielne wejście, znajdującym się w wygodnym punkcie miasta, i opowiadali o swoich kłopotach zawodowych i służbowych. Omawiali rozpatrywane przez nich sprawy skazanych. W wielu wypadkach rzecz dotyczyła więźniów politycznych, którzy wnosili podania o zmniejszenie wyroków. Alesamymi osobami petentów prawnicy ci wcale nie interesowali się. Nie wniali absolutnie w pobudki ich win, nie zajmowali się okolicznościami, towarzyszącymi przestępstwu, nie podejmowali analiz psychologicznych, aby ewentualny wniosek o zmniejszenie kary na czymś oprzeć — jedynie z topą pedanterią zastanawiali się jaki paragraf kodeksu do danego wypadku dostosować, aby wniosek jak najbardziej formalnie uzasadnić i jakąś pod tym względem niewłaściwością czy niezręcznością nie skompromitować się wobec przełożonych. Cała ich ambicja i wysiłek zmierzali do tego, aby możliwie jak najlepiej poznać kodeks karny i nauczyć się go stosować tak, by zwierzchnicy byli zadowoleni. W tych ich rozważaniach i roztrząsaniach fachowych przestępca był tylko obiektem, jakąś bezduszną istotą, która zbytnio zajmowała się i której współczuć nie było potrzeby. Przeciwnie, wypowiadano się o nich lekko, swobodnie, jakby wzgardliwie i z całą bez troską mówiono między sobą: „Wlepili mu dziesięć lat, piętnaście”.

ten a ten paragraf i czy wyrok nie będzie zaskarżony. Albo gdy padało jakieś nazwisko stwierdzano niefrasobliwie: „Ta sprawa odpada, bo już go skrócili o głowę”.

Aby pozyskać przychylność szefów stosowali wzorem Gadowskiego, pochlebstwo, płaszczenie się i nieomal lokajską usłużność.

Wikowski kiedyś przyciśnięty ostacnością wybrał się do Cieślaka, do biura, aby pożyczyc od niego kilka złotych. Ukończyli razem gimnazjum, w dalszym ciągu niby to utrzymywali zażyłą koleżeńską łączność, choć coraz bardziej dzieliły ich i zapatrywania i odmienne losy. Wikowski nie mógł się wyzwolić z biedy, nie mógł sobie znaleźć stałej posady, bo albo wchodził z otoczeniem w konflikty ideologiczne i musiał opuszczać szkołę, albo znowu nie mógł wyżyć z li-chej płacy, otrzymywanej za ogromną ilość roboty.

Cieślak, syn małomiasteczkowego piekarza, którego zakład szedł bardzo dobrze, nie cierpiał wcale biedy w czasie studiów. Przez stosunki, prowadzące aż do otoczenia Piłsudskiego, o czym nie bardzo lubił mówić, dostał zaraz po uniwersytecie posadę i swoim sprytem, lojalnością i posłuszeństwem, wyrzekającym się samodzielnego myślenia doszedł szybko do stanowiska podprokuratora z ogromną pensją — jak na jego niepełne trzydzieści lat — ponad pięćset złotych miesięcznie.

Gdy Wikowski przyszedł do ministerstwa, wożny nie chciał go inaczej wpuścić do Cieślaka jak tylko po uprzednim zameldowaniu. Kolega polecił mu by poczekał, bo

na razie jest zajęty. Wikowski wygłodniały, zmaltretowany, czując do siebie pretensję i wzgardę, że poniża się aż do żebractwa, siedział w eleganckim przedpokoju z pół godziny. Kilka innych osób tkwiło na krzesłkach z minami, oznajmijącymi rozpaczk i rozdrażnienie przewlekłych i daremnych wyczekiwań. Referat ułaskawień miał zawsze wielu interesantów, którzy chcieli się dowiedzieć o losie swych bliskich i znajomych.

Cieślak siedział w jednym gabinecie z Paszłą. Przyjął Wikowskiego dość chłodno i urzędowo, chciał go wyraźnie zasugerować ważnością stanowiska, które zajmował. Paszła, choć Wikowskiego dobrze znał jeszcze z czasów uniwersyteckich prawie nie zwracał teraz na niego uwagi, zajęty pilnym i badawczym przegladaniem jakichś akt. Wikowski zamienił z Cieślakiem kilka zdań, gdy naraz boczne drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł szybko mężczyzna średniego wzrostu, rzyty, pulchny, o bardzo władczym twarzy. Zdradzała ona zarazem sybarytyzm i jakieś rozdrażnienie, widać było przy tym, iż człowiek ten ulega w życiu namiętnościom, które zaspakaja całkowicie, bo i z lekka cyniczna swoboda dosytu uderzała z jego ruchów, gładkich, jakby niedbanych, z wielką pewnością siebie zmierzających od razu do celu. Cieślak i Paszła na jego widok zerwali się od razu z miejsc.

— Panie Cieślak, akta Molendy przedstawił pan?

— Tak jest, panie prokuratorze — wpatrywał się w twarz przełożonego z nad wyraz usłużnym i czujnym półusmiechem.

— I ja te akta przejrzałem również, panie prokuratorze! — skłonił się ku niemu Paszła z gotowości wykazania wszystkich dowodów akuratności w sprawie. Ale prokurator nie zwracał uwagi na Paszłę, stojącego z boku i mówiącego do Cieślaka.

— Wniosek opracował już pan?

— Tak jest, właśnie przepisuje się na maszynie, i wzgardę, że poniża się aż do żebractwa, siedział w eleganckim przedpokoju z pół godziny.

— Jaki?

— Odmawiający łaski, panie prokuratorze!

— Dobrze! I ja już z pobieżnego przegladnięcia akt osadziłem, że nie należało uwzględnić prośby. Tym bardziej, że była to sprawa polityczna, choć obrona usiłuje nadać jej charakter zwykłego przestępstwa. Niech pan weźmie akta i wniosek i przyjdzie do mojego gabinetu.

— Tak jest, panie prokuratorze! Już idę do maszyn.

Prokurator wypowiadając swoje polecenie wydostał z kieszeni ładnym ruchem złotą papierosnicę, otworzył ją bezszelestnie i szybko wziął drogiego, bezustnikowego papierosa. Cieślak gorączkowo począł szukać zapalnika, znalazł je wreszcie w którejś kieszeni i jak najspieszniej począł wydobywać z pudełeczka zapalnik. Ale Paszła podsunął się już był bliżej do przełożonego, wyrwał zręcznym ruchem z kieszonki zapalniczkę, trzasnął nią, ogień wyskoczył i czym prędzej podsunął go prokuratorowi pod papierosa, ramieniem zręcznie tarasując drogę, cisnącemu się rozpaczliwie, z płonącej już zapalnąką Cieślakowi.

Gdy prokurator, wypuściwszy kłęb niebieskawego, wonnego dymu bez słowa podziękowania za tę skwapliwą usługę podziękował, wyszedł szybko i miękкими krokami z pokoju — Cieślakowi twarz poczerwieniała od wściekłości.

— Do cholery! — zwrócił się gwałtownie do Paszli, zapominając o obecności Wikowskiego, oddającego się od kilku chwil z prawdziwą satysfakcją obserwacji — może byś jednak przytłumił w istocie nadmierne już luzosotwo swoje i nie urządził takich głupich kawałów. Odupcha mnie siłą, żeby samemu zapalił prokuratorowi papierosa. Po kiego diabła wtracasz się również

do rozmowy, ciebie nie obchodzącej i przymilnie mu odpowiadaś, żeś i ty czytał owe akta! Widzę, że ci się naprawdę spieszy do wiceprokuratury i żeby ją uzyskać przed czasem robisz wszystko co możesz! — z gorzkiem, zgorzonym wyrzutem dokończył. Ale Paszła nie przejmował się wcale tą uszczypliwością — przeciwnie, ożywił, nabrał jakiegoś szczególnie dobrego humoru i powiedział wesoło.

— Wydaje ci się, że cię odepchnąłem! Nadrobiłem tylko twoje niedoństwo, bo inaczej prokurator czekałby na ogień pół godziny. A co do owej wiceprokuratury, to zdaje się, już w najbliższym czasie czeka cię smartwienie, bo masz rację, prawdopodobnie ja właśnie otrzymam nominację na ten vacat.

Cieślak tylko się roześmiał z ostentacyjną ironią, ale w głosie jego zadźwięczały i tony inne: przykrego zaniepokojenia i jakby żalu już. Zagłębił się z powrotem w akta i tylko co chwilę mierzyl się błyskami nieprzyjajnych spojrzeń.

Wikowski w ciągu tych kilku minut nie przypominał o sobie Cieślakowi, choć jasne było, iż ten wie dobrze o jego obecności — i bawił się nadal swoimi myślami.

Przyglądał się teraz uważnie Paszli, którego twarz w pełni zdradzała, iż nawiedza go przyjemne, pogodne rozważania. Wikowski znał Paszłę już od dość dawna. Pochodził on z małomiasteczkowej, inteligentnej rodziny, podupadłej materialnie. W czasie studiów otrzymywał niewielki fundusik, wcale mu nie wystarczający, choć rozporządzał nim ostrożnie, ze skąpstwem człowiekiem dobrze wiedzącego, że gdy pieniąż odjedzie — długo trzeba czekać nim napłynie ponownie. Ale deficyt wyrównywał Paszła drobnymi, nigdy nie zwracaniem pożyczkami u kolegów naciąganiem ich na fundy, wporczywymi odwiedzinami w czasie kolacji, tak,

— Mały Robin w wielkim kapturze! — szepnęła jedna kuzynka drugiej.

— Nazwiemy go Robin Kaptur, Robin Hood — podchwyciła druga.

Przewisko przylgnęło do niego i pozostał Robinem Hood, chociaż i płaszcz i kaptur zniszczyły się już dawno.

Takie były dotychczasowe losy Robina, takie powody nienawiści do szeryfa Nottingham, powody, o których mówił niechętnie, ale o których pamięć zachował głęboko.

Od śmierci ojca upłynęło już przeszło dziesięć lat. Mały Robin, chowając się w Partridge wspólnie z kuzynem Ryszardem, wyrósł na dzielnego i zgrabnego młodzieńca. Pod opieką stryja i przebywających na dworze doświadczonych wojaków i myśliwych wykształcił się rycerskich umiejętnościach, nasłuchiwał ich opowieści o dawnych czasach, o szerokim świecie, o rycerskich wyprawach. Nabrał w sercu nienawiści do najeźdźców, do wielmożów i bogaczy, wyzyskujących i ciemniących biedaków i słabych przy pomocy przez siebie ustanawianych praw. Postanowił, że całe życie będzie, tak, jak ojciec, walczyć zawsze z przemocą, będzie bronić uciemiężonych, grabionych i wyzyskiwanych.

Ucieleśnieniem tych wrogów był dla niego szeryf Nottingham. Zanim spotka się z nim w walce, chciał go zobaczyć z bliska. W tym celu specjalnie wybrał się na jarmark do Nottingham i wziął udział w igrzyskach.

Powiodło mu się. Nawet powiodło mu się nadspodziewanie. Szeryf poznał jego imię i dowiedział się, co o nim sądzi.

Było to jakby rzucenie rękawicy.

Teraz może rozpocząć walkę!

ROZDZIAŁ V

w którym Robin Hood wchodzi w zatarg z ciemniźcicielami biednej ludności i daje im ostrą nauczkę

Prawo wzbraniające polowania na zwierzynę królewską zostało już dawno wykreślone z rzędu praw, obowiązujących we dworze Partridge. A od czasu, gdy chłopcy, to jest Ryszard, Robin i ich rówieśnicy ze służby dworskiej, wyrosli i wyćwiczyli się na dobrych myśliwych, szpizarnia dworska i szpizarnia we wsi, należącej do dworu Partridge, były stale suto zaopatrzone w zwierzynę, na koszt króla.

Bogiem a prawdą nie przynosiło to królowi wielkiej szkody. Król Henryk II wiele czasu spędzał poza wyspą, we Francji. Na polowanie w lasach sherwoodzkich przyjeżdżał bardzo rzadko, na tereny w pobliżu Partridge nie zapuścił się jeszcze nigdy. A młodzi myśliwcy w swych polowaniach zachowywali jednak pewne przepisy. Nie strzelali do matek, prowadzących młode, ani do kotnych samic. Oszczędzali co mocniejsze jelenie, aby zachowały się na rozplód. Nie polowali na zwierzęta futerkowe w okresie lenienia. Dbali, ażeby ich polowania nie były bezmyślnym, nieużytecznym tępieniem zwierzyny.

— Całe obszary tych lasów były kiedyś własnością i dziedzictwem waszych dziadów — mawiał stary Jakób Partridge. — Teraz zaprzeczają nam wprawdzie praw do nich. Ale my pamiętamy, że to jest nasze i zachowywać się musimy, jak na swoim, jak właściciele, a nie jak szkodnicy i rabusie.

Rodzimy las Sherwood był ulubionym miejscem pobytu młodzieńców. Gdy

tylko śniegi stopniały i słońce podsuszyło ziemię, więcej czasu spędzali pod gołym niebem, niż w domu. Zjawiali się objuczeni zwierzną, pomagali oporządzić ją i uwędzić i, nie tracąc czasu na wypoczynek, ruszali znowu w ukochane knieje. Tam odpoczywali lepiej, niż w domu.

Robin Hood był wodzem tej gromadzie, do której oprócz Ryszarda należał jeszcze jego młodszy brat, Edward, syn kowala dworskiego, Arnulf i syn niańki Robina, John.

Pewnego razu, włócząc się po lesie, zapędzili się w dość odległe od dworu okolice. Była to już jesienna pora. Pogoda, która im długo sprzyjała, popsuka się dnia tego. Niebo zaciągnęło się chmurami. Zaczął mżyć drobny deszczyk, zapowiadający dłuższą niepogodę.

Nocowanie w lesie nie przedstawiało się zbyt zachęcająco. Ognisko rozpalić trudno. Nie można więc ani upiec mięsa na kolację, ani osuszyć przemoczonego ubrania.

— Zajdziemy do wsi, która znajduje się stąd niedaleko — zdecydował Robin. — Każemy sobie upiec kilka upolowanych zajęcy, osuszymy się i przenocujemy w suchym miejscu.

Gromadka ruszyła karnie w kierunku wskazanym przez Robina. Wkrótce wyszli z lasu na pole, otaczające wieś, o której mówił Robin i zmierzali w kierunku wiejskich zabudowań.

Nagle Robin, idący na czele, zatrzymał się.

— Słyszycie? — zapytał.

— Jakiś niezwykły gwar — powiedział, nasłuchując uważnie John.

Podeszli bliżej.

Robin jednak rozmyślał nad czymś i rozważał.

— Coś się dzieje we wsi — oświadczył wreszcie. — Nie możemy tam wchodzić, nie wiedząc co to jest. Jeden z nas musi iść naprzód na zwiady. Gdy się dowiemy, co się tam dzieje, zdecydujemy, jak należy postąpić. Ruszaj Edwardzie. Ale tak, żeby cię nie wszyscy widzieli. Rozejrzyj się, gdy będzie trzeba zapytaj i wracaj do nas.

Edward posłusznie ruszył naprzód szybciej. Reszta posuwała się za nim, jeszcze jakiś czas. Natrafiwszy na rów zarośnięty krzakami, ukryli się w nim na rozkaz Robina.

— Siedźcie tutaj, a ja pójdę rozejrzeć się po okolicy — zarządził i poszedł wzdłuż rowu, w stronę przeciwną, niż Edward. Wrócił jednak po kilkunastu minutach. Czekali na Edwarda.

Już zaczęli się niepokoić, gdy ten ukazał się na dróżce, wiodącej do wsi. Nie dojrzał ich, ukrytych w rowie, więc Robin wezwał go cichym gwizdnięciem.

— We wsi jest oddział żołnierzy, którzy przyszedli ściągać podatki i grzywny. Zachowują się grubiańsko — raportował. — Grabią po prostu ludzi. Zabierają nie tylko zboże i pieniądze, ale także bydło i wozy. Cztery pełne wozy naładowali. Dwóch chłopaków zabierają do królewskiego wojska. Związali ich i położyli na wóz. Dwóch włościan mają powiesić. Jednego za to, że wydał za żonę córkę bez pozwolenia i nie ma z czego zapłacić okupu, a drugiego za to, że znaleźli u niego upolowaną w lesie sarnę.

Oczy Robina Hooda ciskały iskry. Zaciśnął pięści.

— Musimy nauczyć tych drabów rozumu — zawołał.

— Jest ich więcej, niż nas. Są uzbrojeni — mitygował go rozważniejszy Ryszard.

— Ilu ich jest? — spytał Arnulf.

— Dziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi.

— Gdzie mają wieszać tych skazanych? — zadał niespodziewanie pytanie Robin Hood.

— Tuż za wsią. Równie przy samej drodze wielki dąb. Chcą ich powiesić na tym dębie, o ile w eś nie zapłaci wykupu. A we wsi nikt już nie ma pieniędzy, bo wszystko zabrali.

— Dobrze! — oświadczył energicznie Robin. — My ich nauczymy rozumu.

Zaden z pozostałych chłopców nie zaprotestował, chociaż było ich o połowę mniej, niż żołnierzy.

Śluchali rozkazów Robin Hooda.

— Idziemy tym rowem w kierunku wsi. Doprowadzi on nas właśnie w pobliże dębu! — zakomenderował Robin i ruszył przodem.

Tymczasem we wsi trwał prawdziwy sądny dzień. Strażnicy szeryfa pod dowództwem Willa Chudego hulali sobie na całego. Przetrasnąwszy spiżarnie co bogatszych wieśniaków, podjedli sobie najpierw i popili gruntownie, a później, podnieceni alkoholem, przystąpili do wymierzania sprawiedliwości w imieniu króla i szeryfa. Pisarz, który był między nimi, wyczytywał ze swoich spisów, kto i ile powinien zapłacić podatku i kar, a Will Chudy od siebie dorzucał jeszcze różne dodatki za opór, za niedość gorliwe wypełnianie rozkazów, za krnąbrność. Żołnierze szaleli po wsi, zaczepiali brutalnie dziewczęta i kobiety, które nie zdążyły ukryć się przed nimi, turbowali mężczyzn, stojących w obronie swych siostr, żon i córek. Siła była po stronie żołnierzy. Wieśniacy bezsilnie zgrzytali zębami, nie mogąc się im przeciwstawić.

Dwaj najdzielniejsi chłopcy wiejscy, wybrani przez Willa na kandydatów do służby królewskiej, leżeli związani mocno na wozach.

Teraz zarządził Will egzekucję dwu włóścian skazanych na powieszenie. Żołnierze otoczyli nieszczęśników i prowadzili ich przez wieś ze związanymi na plecach rękami. Biedacy szli z opuszczonymi głowami, w myślach żegnając się z życiem i światem. W odległości kilkudziesięciu kroków posuwała się za oddziałem niewielka grupa wieśniaków, chcących oddać ostatnią usługę swym nieszczęśliwym sąsiadom.

Ponury orszak zbliżył się do wielkiego dębu. Żołnierze utworzyli wielki krąg. Will Chudy wygłosił krótkie przemówienie, chcąc nadać tej zbrodni pozory wymiaru sprawiedliwości.

— Kto nie płaci podatków i należnych danin, jest wrogiem króla, Kto tępi zwierzyne w królewskich lasach — zasłużył na śmierć. W imieniu króla i z rozkazu szeryfa zarządzam powieszenie tych oto dwóch zbrodniarzy.

Skinął pompatycznie ręką. Dwóch żołnierzy podeszło do skazańców i zarzuciło im pętlę na szyję. Trzeci wdrapał się na gruby konar dębu i wołał, ażeby z dołu podali mu koniec powroza. Nagle w chwili, gdy przechylił się, ażeby go schwycić, krzyknął głośno, zwinął się i, jak dojrzałe jabłko, prasał z drzewa na ziemię.

— Co się stało?! — wykrzyknął ze złością Will i podszedł szybko w jego stronę.

Żołnierz wił się na ziemi i jęczał z bólu, wskazując na pośladki. W miękkie ciało wbiła się głęboko strzała z łuku.

— Tam do diabła! — wrzasnął Will. — Kto strzelał?! — Ale nikt nie potrafił dać odpowiedzi.

— Nie nastraszą nas! — zawołał zuchowato, bo wypite piwo maćilo mu rozsądek.

Sam podszedł do skazanych, chwycił sznur, przerzucił go przez konar, aby podciągnąwszy przerzucony koniec, zaciągnąć pętlę na szyi ofiary.

Ale gdy podniósł w górę rękę, aby chwycić zwisający sznur, w powietrzu świsnęła nagle strzała. Podniesiona ręka opadła bezwładnie. Strzała przeszła ją trochę poniżej łokcia.

Prerażeni żołnierze schwycili za miecze.

— Tam, tam! — wrzasnął Will, wskazując na krzaki, rosnące w odległości kilkudziesięciu kroków. — Stamtąd wyleciała strzała! Przetrzęsnać te krzaki.

Kilku żołnierzy niezdecydowanie posunęło się w tę stronę. Nagle stanęli jak wryci.

Z krzaków wyskoczył i szedł spokojnie w ich stronę, mężczyzna wysokiego wzrostu, wyprostowany, jak trzcina, z obnażonym mieczem w ręku. Wiatr rozwiewał mu nad czołem ciemno-blond włosy. Oczy błyszczały płomieniem gniewu.

— Rozkazuję wam wypuścić tych ludzi! — zabrzmiał twardo jego głos.

— Szaleniec! — wrzasnął Will, starając się zdrową lewą ręką wyciągnąć miecz z pochwy — Brać go! Związać i na gałąź z nim! — pienił się i szalał.

Żołnierze skoczyli ku nieznanemu napastnikowi, ale w tej chwili kilka strzał świsnęło w powietrzu i dwaj żołnierze chwytając się za piersi zwalili się ciężko na ziemię.

— Stać! — zagrzmiał potężnie nieznamy. — Jesteście otoczeni przez moich ludzi i wszelkie próby oporu są daremne. Kto nie wypełni mego rozkazu — zginie!

Żołnierze skulili się ze strachu. Nawet Will Chudy, znany pyskacz i zawalidroga nie śmiał protestować.

— Rozwiązać i wypuścić natychmiast skazanych!

Rozkaz został wypełniony szybko i sprawnie.

— A teraz wszyscy kolejno: odpasać miecze i złożyć tutaj, przede mną całą broń: łuki, kusze, noże, wszystko! — rozkazywał groźnie.

Kiedy i ten rozkaz został spełniony, zwrócił się w stronę grupy wieśniaków, zamarłej ze zdziwienia, nieruchomo stojącej opodal.

— Podejdźcie bliżej! Czterech ludzi niech weźmie w rękę miecze z tego stosu. Ten tamten, ten! Nie! Ty dziadku, jesteś zbyt stary do noszenia broni. Weź ty chłopcze! Pilnujcie tych drabów, ażeby żaden z nich się nie ruszył.

— Teraz wy dwaj — zwrócił się do zwolnionych skazańców — powiedzcie mi, który z żołnierzy najbardziej wam dokuczyl.

— Ten! wskazał stary wieśniak na grubego o czerwonej twarzy i jasnych, konopiastych wąsach żołdaka. — Napastował moją żonę i pobił małego synka, który bronił matki.

— I ten! Ten był najgorszy! — wskazywali jeden przez drugiego pozostali wieśniacy na ogromnego strażnika. — Bił ludzi, zaczeptał ordynarnie dziewczęta, grabił najwięcej.

— Ha! — zawołał tajemniczy przybysz. — Czy to nie mój stary znajomy z gospody w Nottingham? Co, zuch! Nie poznajesz Robin Hooda?

Żoldak spojrział na niego ponuro.

— Wypełniam tylko rozkazy szeryfa! — burknął.

— Wypełniasz je zbyt gorliwie! A więc, dobrzy ludzie — zwrócił się Hood

do wieśniaków — teraz wy możecie wymierzyć sobie sprawiedliwość. Powieście na tym dębie tych dwu pilnych łajdaków. Nie, nie! Nie będziemy tak okrutni, aby pozbawiać ich życia. Powiesimy ich za nogi, głową ku ziemi. Jak zająca przed świętami. Niech skruszeją trochę!

Wieśniacy, wypełniając skwapliwie rozkazy Robin Hooda, chwycili obu strażników, ściągnęli z nich kaftany, buty i spodnie, spętali nogi i podciągnęli na sznurze, przerzuconym przez konar drzewa, tak że wyciągnięte ręce czubkami palców ledwie im dotykały ziemi.

— Za godzinę zdejmemy ich ze sznura — oświadczył Robin Hood. A teraz zajmijmy się pozostałymi. Wróćcie do swego pana — zwrócił się do żołnierzy — i powiecie mu, że wieś ta nie może płacić podatków, jest bowiem bardzo biedna. Tak biedna, że, współczując biedakom, oddaliście im własną odzież w podarunku. Hej, nuże! Nie rozumiecie? Ściągajcie żywo swoje otrzymane od szeryfa szmaty. Przyodzieją się w nie biedniejsi od was. Pomóżcie im, przyjaciele!

Wieśniakom bardzo się to podobało. Szturchańcami i wykrzykami przynagli żołnierzy, aby szybciej ściągać z siebie odzież.

— A teraz — rozkazywał dalej Robin Hood — dwu ludzi zostanie tutaj na straży przy wisielcach. Reszta odprowadzi żołnierzy do wsi. Idę z wami, ale muszę przedtem wydać rozkazy swoim ludziom.

Zrobił kilka kroków w kierunku rowu, w którym siedzieli jego towarzysze. — Hej, tam! — zawołał — Ryszardzie! Chodź tu z trzema ludźmi do mnie. Reszta oddziału pod dowództwem sierżanta niech odmaszeruje na kwatery.

Po chwili wszyscy czterej towarzysze Robina wyszli z krzaków i podeszli do swego dowódcy.

Teraz Robin Hood na czele triumfalnego pochodu ruszył w stronę wsi. Za nim szła gromada wieśniaków, niosąc odzież i broń żołnierzy, potem grupka strażników, więźniaków i moknących na deszczu w bardzo niekompletnym odzieniu. Pochód zamykało czterech towarzyszy Robina, pilnujących jeńców.

Szli tak przez całą wieś, witani zdziwionymi i radosnymi okrzykami przez mieszkańców. Wszyscy chcieli wiedzieć, co zaszło, cisnęli się, aby obejrzeć pognębionych i pohańbionych strażników i bohaterskich swych oswobodzicieli, rozpytywali, opowiadali, śmiali się i krzyczeli. Gwar powstał, jak na jarmarku. Dziewczęta z podziwem spoglądały na młodych junaków, którzy tak zgrabnie załatwili się z rabusiami szeryfa.

Doszli tak do chaty starszego gminy, przed którą stały wyładowane zrabowanym mieniem wozy.

Robin Hood przede wszystkim kazał uwolnić powiązanych chłopców. Następnie rozkazał, aby każdy wieśniak odebrał, to co mu zrabowano. Jednocześnie dzielił pomiędzy nich odzież i broń strażników. Tylko dwa najlepsze miecze zatrzymał dla Arnulfa i Johna, którzy dotychczas nie mieli innej broni prócz łuków.

— Pamiętajcie! — zwrócił się do strażników — Powiedzcie szeryfowi, że nic tu nie zostało rozgrabione przez ludność. Oddaliście im to dobrowolnie, współczując ich nędzy. A wszystko rozdzielił sprawiedliwie Robin Hood. Do mnie tylko może mieć szeryf pretensje.

Na jeden wóz, wyprzężony z koni, kazał Hood załadować rannych.

— Powieście ich sami — powiedział — to was rozgrzeje. Zmarzłobyście inaczej na deszczu i chłodzie. Wasi wiszacy towarzysze dogonią was z pewno-

ścią. Na pewno będzie im się bardzo śpieszyło za wami. No, ruszajcie w drogę! A nie zapomnijcie kłaniać się szeryfowi Nottingham od Robin Hooda.

Żołnierze nie kazali powtarzać sobie rozkazu. Z taką energią rzucili się do woza, aż koła zafurgotały.

Wóz poleciał po wyboistej drodze tak szybko, jakby go ciągnęła czwórka dobrych rumaków. Strażnikom pilno było skryć się jak najszybciej przed wzrokiem Robin Hooda, jego towarzyszy i ludności wioski, wobec której narazili się na pośmiewisko i drwiny.

— No! — wykrzyknął z zadowoleniem Robin Hood, gdy już zniknęli na drodze strażnicy szeryfa. — Mielśmy zamiar prosić was o nocleg. A teraz myślę, że zasłużyliśmy nań sobie dobrze.

Wieśniacy rzucili się doń z podziękowaniem i błogosławieństwami.

— Zostawmy to na później. Teraz jesteście wszyscy głodni jak wilki. A w rowie leży kilka tłustych zajęcy, upolowanych w królewskim lesie. Przyńście je i przygotujcie nam dobrą kolację.

Tego rozkazu nie trzeba było powtarzać. Robin i jego towarzysze uraczeni zostali wyśmienitą kolacją. Były tam i pieczone kurczęta, i tłuste prosię z różną, i dobry comber z królewskiego jelenia, i dzban starego, syconego miodu. Gdyby to zobaczyli ludzie Willa Chudego, na pewno doszliby do wniosku, że wiele rzeczy uszło ich uwagi w czasie poszukiwań.

Kiedy już siedzieli przy zastawionym stole, dojrżeli przez okno, jak gromada dzieciaków goniła ze śmiechem i wrzaskiem dwu na pół obnażonych żołnierzy, którzy — po odbyciu kary godzinnego powieszenia za nogi — uciekali teraz z wioski, w której tak im się nie powiodło ściąganie kar i danin.

Najadłszy się do syta, Robin Hood skierował się do stodoły na zasłużony odpoczynek na sianie. Podeszło do niego dwu chłopców.

— Mamy do ciebie prośbę, Robin Hoodzie — rzekł jeden z nich. — Uwolniłeś nas od służby w wojsku. Ale szeryf upomni się o nas na pewno. Prędeż, czy później przyjdą tu z większą siłą. Czy nie zgodziłbyś się przyjąć nas do swego oddziału? Mamy już dobrą broń i obaj umiemy się z nią obchodzić — dodał drugi.

— Dobrze! Przyjmuję was — zdecydował Robin. — Zobaczą co umiecie. Ale... co do powrotu strażników, nie myślę, aby to wcześniej nastąpiło. Dostali dobrą nauczkę. Myślę, że nie przyznają się do niej nikomu. Powiedzą raczej, że w lesie napadła na nich potężna banda rozbójników. A w razie potrzeby — zaopiekuję się wioską. Może ona liczyć na pomoc i obronę Robin Hooda.

— A teraz — dodał na zakończenie — idę spać, bo sen mi klei oczy. Dobranoc!

ROZDZIAŁ VI

w którym Robin Hood dowiaduje się, że został zaocznie osądzony
i postanawia przeciw temu zaprotestować.

W kilka tygodni po zgnębieniu oddziału Willa Chudego, przyjaciele Robin Hooda wracali z lasu do dworu Partridge. Gromada ich była o dwu ludzi liczniejsza niż dawniej, bo uwolnieni przez Robina dwaj wieśniacy przyłączyli się doń na stałe. Wszyscy, jak zwykle, obładowani byli zwierzyną. Dwu ludzi uginając się pod ciężarem, niosło na tęgim drażku dębowym pięknego jelenia, który wagą nie ustępował na pewno dobrej krówie. Jeden dźwigał na plecach

wcale tęgiego warchlaka dzika, inni nieśli sarny, zajęce, bażanty, cietrzewie i inne leśne ptactwo. Bo też pora na łowy była najpomyślniejsza — dobry czas do zaopatrywania spiżarni na zimę w wędzone mięso.

Choć nieśli wszyscy duże ciężary, wyciągali rażno nogi, aby jak najszybciej znaleźć się w domu. Robin zapowiadał, że zatrzymają się na dworze Partridge dłużej, aby wypocząć, oporządzić ubranie, przygotować zapas strzał, sznury na pułapki, wyostrzyć miecze, słowem przygotować się do zimowych wypraw.

Wyszli już na polanę leśną i szli zżętymi polami, które otaczały dwór. W świetle zachodzącego słońca rysował się przed nimi potężnie dwór Partridge ze swymi ostrokołami i drewnianą wieżą strażniczą.

Gdy podeszli już blisko, Robin Hood sięgnął po róg, zawieszony na sznurze przez plecy i zagrał sygnał. Usłyszano go we dworze, bo wkrótce z bramy wybiegła gromadka dzieciaków, kilka kobiet i kilku mężczyzn, którzy wyszli żywo na spotkanie przybywających.

— Jakis obcy jest wśród naszych ludzi — zauważył Edward, przyglądając się uważnie idącej ze dworu gromadzie. — Pierwszy raz go widzę. Wysoki, dość barczysty, trochę niezgrabny w ruchach. Ciekaw jestem, kto to jest? Skąd się tu wziął?

Pozostali przyglądali się również, ale tylko Robin Hood poznał nieznanego.

— Ależ to Ben Piekarz z Nottingham — wykrzyknął. — Nie poznajesz go, Ryszardzie? Co on tutaj robi we dworze Partridge?

Wkrótce spotkały się obie gromadki. Nastąpiły radosne powitania. Miejscowi mężczyźni zaczęli odbierać od przybyłych niesioną przez nich zwierzynę.

— Jak się masz, Benie? — zawołał Robin Hood, wyciągając prawicę do piekarza. — Jakie losy przyniosły cię do Partridge? Co skłoniło cię do opuszczenia piekarni i pięknej Elżbiety?

— Mam z tobą wiele do pomówienia — odparł Ben. — Może znajdziesz później na to godzinę czasu!

Robin musiał iść przywitać się z matką i stryjem, z rodzeństwem i domownikami. Musiał opowiadać kilkakrotnie swoje przygody, bowiem wieść o pogromieniu strażników dotarła już tutaj.

Ledwie pod wieczór znalazł trochę wolnego czasu, by, odszukawszy Bena, wyciągnąć go na obszerny dworski podwórzec na poufną rozmowę.

— Opowiedz mi, Benie, co cię tutaj sprowadziło i w jaki sposób odnalazłeś mnie w dworze Partridge — zapytał, biorąc go pod ramię.

— Elżbieta poradziła mi, abym cię tutaj szukał. Nie wiem, skąd jej to przyszło do głowy. Słyszała od kogoś o dworze Partridge i wiedziała, że tak też brzmiało nazwisko twego towarzysza, Ryszarda.

— Bardzo sprytnie — przyznał Robin. — Ta dziewczyna ma głowę na karku. Będziesz miał z niej pociechę, Benie, gdy zostanie twoją żoną.

Ale Ben westchnął smutnie.

— Wątpię, czy to nastąpi, Robinie! Ona ceni tylko żołnierzy. Za barwnym mundurem, ozdobionym srebrnymi naszytami, poszłaby w piekło. A właśnie kręci się koło niej pewien sierżant. Ma wspaniałe czarne wąsy i dużo srebra na kołnierzu. Elżbieta wypatruje za nim po prostu oczy. A on — myśli tylko o tym, ile pieniędzy i innego dobra ma pochowane w skrzyniach stary piekarz. Nie mogę już na to patrzeć. Toteż chętnie zgodziłem się na jej prośbę, abym wyruszył w lasy sherwoodzkie, odszukał ciebie i opowiedział wszystko... Eh! — machnął ręką. — Niech sobie wychodzi za mąż za sierżanta, byłcin ja tego nie

widział. Już sobie powiedziałem, że Elżbieta to nie żona dla mnie, prostego, spokojnego rzemieślnika.

— A cóż to Elżbieta kazała mi opowiedzieć? — zapytał Robin. — Chyba nie to, że podoba się jej królewski sierżant, i ma zamiar wyjść za niego za męża.

— Ach, nie! — zaprzeczył Ben. — Cóż ciebie może to obchodzić? Chcieliśmy cię tylko zawiadomić, że szeryf wyznaczył cenę na twoją głowę.

— Ho, ho! — roześmiał się swobodnie Robin Hood. — I jakaż to cena, jeśli wolno wiedzieć?

— Dwadzieścia funtów!

— Nienajgorzej! Muszę ogłosić, że ja dam za głowę szeryfa dziesięć funtów. Ponieważ — po pierwsze jestem od niego biedniejszy, a po wtóre — jego głowa jest o wiele mniej warta od mojej, mimo, że jest on wysokim urzędnikiem królewskim, zastępcą króla na całe hrabstwo.

— Kpisz sobie, Robin Hoodzie, a to jest sprawa całkiem poważna. We wszystkich miejscowościach shire'u ogłoszone zostanie, że każdy, kto przyprowadzi do zamku żywego Robin Hooda lub kto go zabije, otrzyma od szeryfa dwadzieścia funtów nagrody. To nie drobiazgi. Ilu ludzi będzie chciało zarobić tyle pieniędzy! Będą cię gonić, śledzić...

— Nie przeraża mnie to jakoś!

— Za udzielanie ci schronienia grozi kara. A szeryf ma długie ręce. Potrafi zatruć i utrudnić ci życie.

— Ho, ho! Las Sherwood jest obszerny i ma dużo kryjówek. Dużo wody upłynie, nim złapią mnie poplecznicy szeryfa. — Kpił Robin Hood. — A cóż to skłoniło tę głupią bekę do takiej rozrzutności? Czym naraziłem się na srogi gniew jego wielmożności?

— Jak to? Ty się jeszcze pytasz? Przecież Will Chudy po sromotnym powrocie do Nottingham naopowiadał o tobie masę różnych potworności. Że masz potężną szajkę, która grabi podróżnych po drogach. Że napadłeś na niego wśród lasu. Oni walczyli mężnie. Przecież czterech z nich zostało rannych. Ale zmoogliście ich przeważającą siłą. Ograbiliście doszczętnie z pieniędzy i innego dobra, które zebrał na daninę dla króla. Wreszcie obdarliście z broni i odzieży. Czyż to nie wystarczy? Stałeś się wrogiem króla, Robinie Hood. Szeryf wysłał umyślnych posłów z oskarżeniem do króla i z prośbą, aby cię skazano na dożywotnią banicję i wyjęcie spod prawa.

— F'm! — mruknął Robin Hood. — Wyrok został wydany zaocznie. Będę musiał zaprotestować przeciwko temu.

— Co myślisz zrobić, szaleńcze! — przeraził się Ben.

— Dzwiesz się w swoim czasie! W każdym bądź razie dziękuję ci, Benie, żeś podjął tyle trudu, aby mnie o tym zawiadomić. A teraz — dorzucił wesoło — chodźmy na wieszaczkę, bo już czuję smaczne zapachy z kuchni.

Przez kilka dni spokój panował we dworze Partridge. Robin i jego towarzysze swicili się przyjemnością am' osiadłego życia. Wysypiali się długo, jedli dobrze, a w ciągu dnia opatrywali broń, pierzyli strzały, ćwiczyli się w strzelaniu z łuku w walce na miecze, łowili ryby w rzeczce, chodzili do lasu na krótkie tylko polowania, a również pomagali w pracach gospodarskich, w młóceniu zboża i w mieleniu go na żarnach na grubą, razową mąkę.

Pewnego dnia jednak Robin Hood oświadczył swym towarzyszom:

— Dość już tego leniuchowania i wygrzewania się przy ciepłym kominie. Pojutrze rano wyruszamy do Nottingham.

Przegląd kulturalny

W okresie przedzimowym, a więc w porze, kiedy rolnik może jeszcze sobie na trochę odpoczynku i wytchnienia pozwolić — wzmogła się działalność chórów i zespołów ochotniczych po wsiach. Parę wielkich uroczystości ludowych skupiło w sobie wiele grup artystycznych. Na regionalnych Wiankach 26 czerwca na Warcie w Szelagu oglądaliśmy niezwykle wysoki poziom osiągnięć kilku z nich. Popisy taneczne zespołów regionalnych wykonane na pomoście wbudowanym w rzekę i w jaskrawym oświetleniu licznych reflektorów i oślepiających ogni sztucznych budziły podziw doskonałym zgraniem i precyzyjnym odtwarzaniem figur, co zwłaszcza z góry patrzącym dawało niezrównany widok. Ogólne kierownictwo imprezy leżało w rękach p. Janowskiej-Kopczyńskiej i p. Strugarskiej. Na Wiankach też wystąpiły chóry śpiewacze: Hasło, Gędźba i Harmonia, choć na tak wielkiej przestrzeni, nieosłoniętej niczym — gubiły się piękno i subtelność wykonania głosowego.

Wielkopolski Związek Śpiewaczy obejmujący 24 okręgi i mający dawną i piękną tradycję, wykazuje obecnie, pod przewodnictwem prezesa Witalisa Dorożala i gen. sekretarza M. Barwickiego niezwykle ruchliwość. Co niedziela i święta odbywają się zjazdy okręgowe po miasteczkach i wsiach połączone z konkursem chórów lub uświetnianiem jakichś uroczystości. A oto krótki przegląd zjazdów i występów chórów związkowych w ostatnich dwóch miesiącach:

2 maja na Święto Wiosny Ludów śpiewało w Miłostawiu 8 chórów 360 śpiewaków, 6 maja na Święto Wiosny Ludów śpiewało w Trzemesznie 5 chórów 212 śpiewaków, 16 maja Święto pieśni i poświęcenia sztandaru w Starolecie 15 chórów 800 śpiewaków, 23 maja Święto pieśni i pośw. sztandaru w Skorzewie 12 chórów 630 śpiewaków, 23 maja Święto pieśni w Sarnowie pod Rawiczem 8 chórów 380 śpiewaków, 6 czerwca Święto pieśni Młodzieży w Strzałkowie 2600 młodzieży śpiewającej, 13 czerwca Święto pieśni Młodzieży w Jarocinie 9 chórów 580 śpiewaków.

(Na pierwsze miejsce wybił się tu chór z Witaszyc dyrygowany przez P. Lamprechta szofera z zawodu).

13 czerwca na zaproszenie chóru Gędźby w Winiarach śpiewało: 15 chórów 840 śpiewaków (wykonano tutaj Paradowskiego „Zaślubiny Wisły z Baltykientem”, powtórzone potem na Wiankach w Szelagu); 13 czerwca, niezwykle uroczyste w Krotoszynie śpiewało 8 chórów 560 śpiewaków. Obrzucono ich kwiatami, na pierwszy plan wybił się mały CHÓR WIEJSKI Z CHWALISZEWIA. 20 czerwca Święto pieśni i koncert w Żninie śpiewało 5 chórów 260 śpiewaków; 20 czerwca (mimo deszczu kilka tysięcy publiczności) w Odolanowie śpiewało 10 chórów 680 śpiewaków; 27 czerwca 200-lecie miasta i Święto pieśni w Szamocinie zgromadziło również liczne chóry, tegoż dnia odbyły się zjazdy i popisy chórów w Ze-grzu, w Mątwach — na Kujawach, w Czarnkowie (zjazd i konkurs), 4 lipca

ma się odbyć imponujący zjazd śpiewactwa Ziemi Lubuskiej i okolic: wolsztyńskiego i nowotomyskiego w Zielonej Górze. Tegoż dnia odbędzie się zjazd wraz z konkursem we wzorowym okręgu Rawicz, również w Lesznie i Czarniejewie, a 11 czerwca w Puszczykowie.

A teraz skorzystamy tylko z działalności Związku powieźmy, podczas gdy o osiągnięciach przekonanie się możemy na każdym zjeździe, nie całkiem od rzeczy będzie dorzucić parę cyfr o składowi Związku: Liczy on 236 chórów, w tym 20 chórów Ziemi Lubuskiej. Członków czynnych około 18.000. Podzielić ich można wedle zawodów: 4495 pracowników umysłowych, 8536 robotników fabrycznych i rzemieślników, 5929 rolników i chłopów.

Ogólna liczba dyrygentów 195, niektórzy dyrygują kilkoma chórami naraz. Dyrygenci rekrutują się z różnych zawodów: 25 jest muzyków zawodowych, 70 organistów, 2 duchownych, 26 pracowników umysłowych, 2 studentów, 32 nauczycieli, 26 rzemieślników, 8 robotników, 7 rozmaitych zawodów.

Z tego krótkiego zestawienia przekonać się możemy dowodnie, że Związek Śpiewaczy docierając do najszerszych kół społecznych i niosąc uszlachetniającą sztukę w najdalej zakątki spełnia tym samym najlepiej zadanie upowszechnienia sztuki, a równocześnie przez związanie ludzi w grupy i pracę zbiorową — jej uspołecznienie.

Drugim Związkiem o podobnym działaniu, ale bardziej urozmaiconym i mniej zwartym jest Towarzystwo Teatrów i Muzyki Ludowej, które niedawno zaprodukowało się publiczną wieczerzą „Świr, swir za kominem” w auli uniwersyteckiej. Na pierwszy plan tego popisu wybił się zespół 24 akordionistów pod batutą prof. Guzińskiego, Główną jednak zasługą T. T. M. L. jest prowadzenie: szatni i wypożyczalni kostiumów na wszelkie imprezy (garderoba Tow. liczy przeszło 500 sztuk odzieży) oraz wypożyczalni nut i tekstów sztuk teatralnych.



Wnętrze nowourządzonego Muzeum Archeologicznego w Poznaniu.

„Pamiętniki z za grobu”

(W setną rocznicę śmierci René Chateaubrianda)

Gdy ręka młodego zwycięskiego generała Bonaparte podpisała z Rzymem Konkordat, gdy 18 kwietnia 1802 roku Pierwszy Konsul otworzył po dziesięcioletnim milczeniu zamknięte przez Rewolucję kościoły — ukazało się dzieło — „Geniusz Chrześcijaństwa” — które przyczyniło się znacznie do pobudzenia niewygasłego jeszcze życia religijnego wśród narodu francuskiego. Pierwsze lata Chateaubrianda przypadały na czas, w którym wszystko co dawniej było władzą, powagą i świetnością zostało starte na proch. Młodość bowiem spędził w kraju, który pierwszy dokonał ogromnych przeobrażeń społecznych, a wypadki te wycisnęły piętno na całym jego życiu. Zrazu wojskowy, pozbawiony wszelkiej wiary — bo taką jest epoka w której żyje — szuka zaspokojenia swych tęsknot na horyzoncie drugiej półkuli, wśród silnej, dziewiczej przyrody, skąd wraca na wiadomości o krwawych wypadkach we Francji. Zmuszony do emigracji rozpoczyna w Londynie działalność literacką „Szkiecami o rewolucjach” w roku 1797. Wkrótce dowiaduje się o śmierci matki i wstrząs ten wywołuje w nim wielką zmianę, przywracając go wierze katolickiej. Nie było to jednak nawrócenie św. Augustyna, Pascala czy później Huysmansa. Nastąpiło zbyt nagle i pozostało w zakresie uczuć ludzkich. Nawrócony Chateaubriand pozostał zawsze owiany wzniosłą pychą, charakteryzującą pisarzy pokolenia romantycznego. Pisarzem był dla sławy pisanie, a jego egzaltacja religijna ozdabiana była świecidełkami wieku, w którym żył.

Nieznaany tułacz bez majątku, odgadzając potrzebę epoki, dziełem pióra staje się sławnym, a sława ta otwiera mu bramy ojczyzny. Wraca do Francji w 1800 r., krocząc wspaniałą drogą upragnionych zaszczytów i znaczenia.

Pisze kolejno „Atale” i „Geniusza Chrześcijaństwa” stając się pierwszym, który z gruzów Francji wzniecił siłę ducha.

Znając doskonale umysły i dusze swych współczesnych, odnalazł w „Geniuszu” właściwą drogę w poszukiwaniu rehabilitacji wiary, uderzając w nutę sentymentalizmu, a zostawiając na uboczu rozumowanie nad samą re-

ligią. W tym czasie zetknął się z Napoleonem, zresztą jedyny raz w życiu. Zbliżyli się wzajemnie do siebie na chwilę, myśląc, że wspólnie dążąc będą ku jednemu celowi odbudowania społeczeństwa francuskiego. Chwila ta była może decydująca w jego życiu. Chwała, władza i wielkość Napoleona, wyrosłe na geniuszu, a z drugiej strony powołanie własnych dzieł i potęga ducha, wzbudziły w nim przekonanie, że wiek XIX stworzył dwóch geniuszy: Napoleona i jego. Toteż po rozdziale — już tylko jako poeta i pisarz — dążył do zajęcia równoległej linii do linii bohatera i władcy, by już nigdy się z nim nie spotkać, i by w państwie ducha być tym, czym Napoleon był w świecie siły materialnej. Tymczasem jednak jest w lasce: zostaje sekretarzem ambasady w Rzymie i ministrem przy republice walezyjskiej. Zawiedziony jednakże w nadziejach odegrania wszechwładnej roli w sprawach poselskich, opętany chorobą wielkości ostro krytykuje rządy cesarskie w mowie przygotowanej na dzień przyjęcia do Akademii. Cesarz niszczy manuskrypt mowy i przyjęcie do Akademii zostaje odroczone. Wyrok śmierci na księcia d'Enghien powoduje kompletne zerwanie. Udaje się na Bliższy Wschód, gdzie zbiera materiały do „Męczenników” i „Drogi z Paryża do Jerozolimy”. Nie doznaje jednak wcale żywego wzruszenia przy zwiedzeniu Miejsca Świętego niż w Lacedemonie czy Atenach. Ludzka i boska istota Chrystusa jak również krwawy dramat krzyża pozostały mu obce.

Z upadkiem Napoleona zaczyna swą wielką działalność polityczną. Ciągłe dążąc do najwyższych zaszczytów, wciąż trawiony gorączką sławy i władzy, wydaje broszurę „Bonaparte i Bourbonni” — arcydzieło w dziedzinie psychologii politycznej, którym to dziełem oddał ogromne usługi Bourbonom. Mianowany kolejno ambasadorem, parem Francji, ministrem, zawsze pozostając człowiekiem urobinym ze sprzeczności, podejrzliwym, niedostępnym; staje się też wkrótce uciążliwym i w roku 1824 usunięty jest z rządu.

Odtąd jest jednym z najznakomitszych i najwymowniejszych publicystów i współpracowników przeciwników monarchii, jakkolwiek kocha ją więcej niż wszyscy ultrarjaliści. Wciąż nurtują w nim jakieś sprzeczności, stale jest w konflikcie z otoczeniem, z samym sobą; pożądanie rzeczy zakazanych i nieosiągalnych miota nim bezustannie. Podczas rewolucji lipcowej schlebiał tłumom, nie mogąc zapomnieć doznanych uraz i animozji do osób dworu, by stać się bezinteresownym, wiernym sługą Karola X, po jego wygnaniu.

Chateaubriand pozostawił po sobie wspaniałą pomnik swego przepojonego marzycielstwem i sprzecznymi namiętami życia w postaci „Pamiętników z za grobu”. Pisanie ich rozpoczął w roku 1811 w samotni „Doliny Wilków”. Sprzedając prawo nakładu w roku 1836 zastrzegł ich publikację dopiero po swym zgonie. Ukazały się w momencie mało korzystnym, w formie odczwanej, felietonowej, nazajutrz po re-

wolucji 1848 roku, w chwili gdy wszystkie umysły zajęte były wypadkami rewolucyjnymi. Toteż przeszły prawie niespostrzeżone. Pierwsze to niepowodzenie zaszkodziło im bardzo i do dziś dnia nie zajmują tego miejsca i ceny na jakie zasłużyły. Kreślone pod naciskiem wewnętrznej potrzeby są epopeje prawdziwe, w której autor wyśpiewuje z największym realizmem historię człowieka XIX wieku, od samotni w Combourgu do osobobienia w Abbaye-aux-Bois w Paryżu. Opowiada swoje życie dziecięce, analizuje wrażenia, uczucia i namiętności w różnych okresach swego życia; bez osłonek pozwala poznać swoje uprzedzenia, nienawiści prywatne i polityczne, kaprysy, lekceważenie i pogardę zupełnie niepojętą zwłaszcza wobec tych, którzy równocześnie są przedmiotem jego czci. Biorąc udział w wielkich wypadkach politycznych upodobnił się do kardynała Retza i Saint-Simona; jak oni jest stronniczy, rozgorączkowany, nieżyczliwy. Melancholia, gorycz, rozczarowanie, oraz namiętność i nieokreślona wyobraźnia nie mogły z niego zrobić bezstronnego historyka. Dlatego jego pamiętniki nie mogą mieć charakteru dokumentu. Ponad wszystkim góruje tu wielki pisarz, który przyżywa jeszcze raz swoje własne życie. Obrazy z monotonnego i smutnego życia w domu ojcowskim, tajemnicze marzenia i wieczna nuda podczas samotnych spacerów na wybrzeżach i nieuprawnych landach, gdzie karmił swą chorobliwą wyobraźnię, są początkiem wycieczek w malownicze lasy Nowego Świata, tak pięknie ujętych w jego dziełach.

Napisane z wielkim artyzmem i przy pięknej formie opowiadają także historię ówczesnej społeczności na tle wypadków, które głęboko wstrząsnęły światem. Na tym tle maluje postacie kobiet znakomitych i kojących, którym dochowywał zawsze wiernej przyjaźni, bohaterów, potworów, ludzi przeciwnych i geniuszy. A nad wszystkim góruje potężna postać Napoleona.

Polityka i religia, poezja podróży, wielkie obrazy rewolucji i walki; wszystko to szkieletowane z natury z żywotnością, blaskiem i werwą. Styl jest bogaty, obrazowy, w którym autor przywołał do pomocy wszystkie możliwości językowe: archaizmy, prowincjonalizmy, neologizmy, a wszystkie wymowne i barwne stawiając dzieło to na pierwszym miejscu w literaturze francuskiej XIX w. Śmierć Chateaubrianda w dniu 4 lipca 1848 oraz uroczystości pogrzebowe w Paryżu odbyły się jakby przytłoczone krwawymi dniami czerwca. Dopiero Bretania przyjęła z przepychem powrót prochów swego syna, ukrytego nieśmiertelną chwałą i złożoną je w skalnym złomie Grand-Bé, na odludnej wysepce Saint-Malo, między niebem a morzem, by po śmierci był tak jak za życia „jedynie on sam w obliczu Boga i natury”. Stojąc przy grobie widać okna pokoju, gdzie ujrzał świat dnia 4 września 1768 roku na Saint Malo. Tak bliska przestrzeń dzieli te dwa krańce, lecz ile cierpienia, radości i myśli zamknięta w swym czasie!

że weszło już w zwyczaj, że gdy u któregoś z grupki zaprzyjaźnionych kolegów uniwersyteckich zabierano się do kolacji, mimo woli myślano o Paszli i odruchowo spoglądano na drzwi, czy nie nadchodzi. I takie miał on genialne wyczucie, że gdy zdarzył się gdzieś lepsza kolacja z wódką, na którą zapraszano kilkoro koleżanek i kolegów, nieuchronnie zjawiał się i Paszla z mdłym, pokornym i proszącym uśmiechem. Na imieniny specjalnie nie zapraszano go nigdy, bo i tak wiadomo było, że przyjdzie. Miał w sobie rzeczywistość coś z usposobienia zebra, z braku ambicji uczynił metodę postępowania, natrętny, nie zrażał się niczym i był przy tym wszystkim oślizgły i odrażający. Nie przejmował się żadną opinią, szedł sobie pomalutku a planowo do własnego, chytrze obmyślanego celu. Podobnie jak Gadowski przyjaźnił się tylko z tymi, którzy mogli mu pomóc w drodze do kariery. Po ukończeniu studiów był jakiś czas bez pracy, dopiero podlizywaniem się, niewolniczym demonstrowaniem przed Gadowskim swojej niby to bezin teresownej miłości, osiągnął to, że ten zaprotegował go do ministerstwa sprawiedliwości. Tam już Paszla zaczął sobie dawać radę własnymi siłami. Nadskakując lokajsko przełożonym, stosując na zimno grube pochlebstwo oraz na zlecenie i samorzutnie inwigilując kolegów, aby zebrać donosielski materiał, dobijał się w biurze coraz lepszych stanowisk. To, że umiał pozyskać zaufanie niektórych przełożonych, że potrafił zaszkodzić i uchodził za wpływowego intryganta, decydowało o jego pewnej pozycji i autorytecie w biurze. Bojaźliwi liczyli się z nim i ustępowali przed nim, a on tylko wyczynał zamieszanie i nieporozumienia po to, aby na tle wzajemnych potem oskarżeń samemu zyskać na znaczeniu. Teraz w stosunku do Gadowskiego począł zdradzać pewną ambitną niezależność, a nawet kopkował z nim co do

wyższości stanowisk w hierarchii urzędniczej i przypominał o tym, kto mu zrobił posadę. Ale Gadowski przewyższał go o wiele możliwościami, choć Paszli wcale nie wydawało się to takie oczywiste. A Gadowski zdystansował go bezapelacyjnie — gdy otrzymał naraz nominację na naczelnika wydziału. Stało się to sensacją w gronie przyjaciół. Gadowski umówił się tego dnia z Paszlą i jego żoną na wspólne pójście do opery. Spotkali się w teatrze. Paszla przez ożenek zdobył dużą niezależność materialną, wybił się już w tym czasie swoich nawyków zebra, ale od tego by komuś fundować bilety, czy też by rewanżować się za dawne fundy na jego korzyść, był niezmiernie daleki — dlatego też przyjął w milczeniu zadowolenia zwrot pieniędzy od Gadowskiego, za nabyte wcześniej bilety.

Gadowski napęczniał sensacyjną wieścią dopiero jednak w antrakcie podzielił się z Paszlami radosną nowiną, iż otrzymał dekret, powołujący go na stanowisko naczelnika wydziału. Zwolna wydobyl portfel z kieszeni, wyjął z niego papier z nominacją i podawał go niby niedbale Paszłom, którzy patrzyli nań nieruchomo z takimi minami, jakby im naraz tchu zabrakło. Paszla ruchem nie kontrolowanym, ujął na chwilę w dwa palce dokument, ale nie zabrał się do przeczytania; żona jego o poólkłej naraz, cierpiącej twarzy patrzyła już gdzie indziej — Gadowski schował tedy papier i uśmiech ironicznej satysfakcji ukazał się na jego dużej, czerwonej twarzy. Paszla nie wiedział jak się zachować, nie odezwał się słowem do Gadowskiego, bladł, siał i gorzkniał z minuty na minutę — tak przvkro skupiony w sobie jakby nurtowały go gwałtowne bóle brzucha. Wreszcie, gdy przerwa miała się ku końcowi, obce z żoną podnieśli się z krzesel jednocześnie, ona powiedziała suchym głosem, iż poczuła się niedobrze i musi wracać do domu, on po-

dał pośpiesznie i zdawkowo rękę Gadowskiemu, uśmiechniętemu coraz bardziej triumfująco i podążył za żoną.

Paszla ożenił się nie tak dawno, ze studentką, panną bardzo brzydka i oschle zgaszoną, ale ojciec jej był rejentem w mieście prowincjonalnym, miał pieniądze, a co najważniejsze bardzo chętnie przystał na związek z młodym człowiekiem, pracującym w ministerstwie sprawiedliwości i mającym przed sobą wielkie szanse zrobienia kariery.

Cieślak po tych kilku minutach „wyteżonej” pracy urzędowej, rzucił wreszcie raz i drugi spojrzem na zamysłonego Wikowskiego i zapytał go tonem drwiąco pobłażliwym, jakiego zwykle używał, gdy się do niego zwracał.

— No i cóż to, Stefciu, sprowadza cię do mnie?

Przed chwilą właśnie zrezygnował ostatecznie z zamiaru zaciągnięcia pożyczki u Cieślaka — a nawet najmocniej przyrzekł sobie, że już nigdy z tym nie wróci się do niego, gdy niespodziewanie dla samego siebie powiedział coś wręcz przeciwnego.

— Chciałbym pożyczyc od ciebie dziesięć złotych. Jestem w wielkiej potrzebie! Zwrócę w tych dniach.

Cieślak przyjął tę prośbę spokojnie, obrzuć tylko ironicznym wzrokiem postać Wikowskiego, któremu w tym czasie wiodło się szczególnie źle i bardzo był licho odziany i prawdziwie wymierzowany. Ze spokojem człowieka sytego i zadowolonego, ubrawszy twarz w jakiś sarkastycznie obiektywny wyraz przerzucił dalej zwolna kartki w grubym tomie akt.

— Powiedz mi, Stefciu, kiedy ty się wreszcie ustabilizujesz i osiadiesz na jakiejś stałej posadzie? Co? — spojrział na niego niedbale.

— Myślę, że przyjdą i dla mnie lepsze czasy. Wiesz dobrze, że w zawodzie nauczycielskim jest ciężko i o stałą posadę trudno.

— Dlaczego? — zdziwił się spokojnie Cieślak, jakby usłyszał odpowiedź dziecka, wymagającego pobłażliwości — czyżby nauczyciele zmuszeni byli do ciągłej zmiany pracy? Ale wiem o co ci chodzi Mówisz o lepszych czasach dla ciebie — to znaczy w ogóle dla ludzi, wynajmających takie jak i ty poglądy polityczne. To znaczy myślisz o czasach, w których zatrujemy wreszcie socjalistyczna rewolucją? Czy tak? — Cieślak filozofował sobie wesoło i niby to wyrozumiale, przerzucając jednocześnie dość uważnie akta.

— Może i tak! W każdym razie moje poglądy...

— Poglądy, poglądy! — przerwał mu niedbale Cieślak — ale czyż ty się nie zastanawiał nigdy nad tym, że te twoje poglądy — jak to widać z twojego losu, z twojej stałej niezdy — słowo to wymawiał zjadliwie i z naciskiem, — nie mają żadnej użyteczności praktycznej? Wykaż, że przy pomocy tych swoich poglądów, możesz coś zrobić, coś osiągnąć, a wtedy przyznam ci rację.

— Cieślak zdobywa się wyjątkowo na mądre uwagi! — powiedział Paszla i uśmiechnął się drwiąco przyjaźnie i porozumiewawczo do swojego vis a vis.

— Widzisz, nawet Paszla to rozumie! Zresztą dla Paszli poglądy nie są i nigdy nie będą rzeczą istotną. On je umie elastycznie dostosować do realnych konieczności — powiedział Cieślak tonem niespodziewanie serio i uśmiechnął się „pod wąsem” mocno sarkastycznie.

— A powiedz mi Cieślak, jakie to masz w istocie poglądy? — odezwał się Paszla tonem wielkiej ciekawości — wybywasz się w tych sprawach czarując samodzielnością i myślisz zawsze to co myśli twój szef. Czyż nie tak? — skłonił się uprzejmie głową.

— Tak jest i wcale się tego nie wstydzę! Mam przynajmniej jakieś określone myśli w głowie. Po są w na-

szym biurze i tacy urzędnicy, którzy pod tym względem odznaczają się absolutną pustką w łepetynach, lub też pustką tę otwierają gościnnie dla idei onerowskich. Czyż nie tak, panie wiceprokuratorze?

— Ale Paszla ufał zaraz, że nie słyszy i pilnie szukał czegoś w stosie akt. W Wikowskim obudziła się w tej chwili ostra nienawiść do Cieślaka. Jeszcze raz stwierdzał, iż są z gruntu odmiennymi ludźmi, że się nigdy pod zasadniczymi względami nie porozumieją, tak jak dwaj wrogowie, których ostateczny stosunek do siebie uregulować może tylko wynik walki. Wstał raptem z krzeselka i powiedział:

— No to i ja już idę! Cześć! — wyciągnął do nich niezręcznie dłoń.

Paszla podał mu swoją nie patrzac nań, Cieślak zaglądnął do bocznej szufladki w biurku dotknął jego ręki palcami. Gdy Wikowski już otwierał drzwi, kolega odezwał się żywiej.

— No i cóż Stefciu, nie weźmiesz tych dziesięciu złotych? — z brękiem położył monetę na stole. Wikowski zahwahał się, ale wrócił i szorstkim ruchem zgarnął pieniądze do kieszeni.

— Dziękuję! Wkrótce oddam.

Cieślak zbył to nijakim uśmiechem i wrócił do akt.

Wikowski znalazł się w przedpokoju i szedł ku schodom gdy z gabinetu wypadł Cieślak i przywołał go półokrzykiem. Odcignął go na stronę i powiedział mu raptem ale stanowczo.

— Zarty żartami Stefciu, ale chodzi tu o te twoje poglądy. Zapewne musisz się stykać z ludźmi, którzy myślą tak samo jak ty, a więc chyba miewasz pewne kontakty. Otóż wołałbym, żebyś nie przychodził do mnie do biura, bo wiesz, w razie czego byłoby mi to nie na rękę. Jeżeli masz do mnie jakiś interes, jeżeli chcesz parę groszy, to zadzwoni, a umówimy się na mieście. Tak będzie najlepiej. Bardzo cię przepraszam! — cisnął mu dłoń i pośpiesznie wrócił do gabinetu.

Spacerem przez eter radio z drutem czy bez drutu...

(Ciąg dalszy ze strony 1)
Niekoniecznie.
Gdybyś przypadkiem kiedyś nastawił odbiornik na fale zagraniczne, posłyszalbyś może również zapowiedź: „Draht-funksender X”. Po polsku: nadajnik radiofonii przewodowej nośnej X. Cóż to za kanał?

Zacznijmy więc poważnie.
Uznając odbiór radiowy przy pomocy anten dachowych i odbiorników jako niedoskonały (zakłócenia atmosferyczne, przemysłowe, gwizdy i przesychny, mała siła odbioru i zaniki), technicy wymyślili nowy sposób odbioru radiowego. Jeszcze przed wojną. Wrócili do drutu, porzuconego przez Popowa i Marconiego. Skoro bez drutu — przy pomocy anten nadawczych i odbiorczych jest niedotrze, popróbujmy po drutach. No i po przewodach elektrycznych zaczęto rozsyłać programy radiowe różnymi sposobami.

Powstały różne systemy radiofonii przewodowej.
Najpierw słuchano przy pomocy słuchawek, czy ewentualnie wzmacniaczy podłączonych do linii telefonicznych. Wykorzystywano linie telefoniczne w czasie przerw w telefonowaniu. Myśl w zasadzie słuszna. Przecież nie całą dobę telefonuje się po przewodach. W razie niezajęcia linii przez rozmowę, z centrali na przewody nakładano program radiowy. Abonenci z sąsiedztwa aparatu telefonicznego zapewniony mieli odbiór radiowy.

Ale tylko w czasie przerw w telefonowaniu. I tu właśnie sek. Sam odbiór był dobry zwłaszcza na liniach skablowanych. System ten stosowany był w górach, gdzie odbiór przez eter był niedostateczny.

Później stworzono rozbudowane centrale wzmacniakowe z własną siecią linii głośnikowych. Program był urozmaicony. Z odbiornika radiowego, płyt gramofonowych, mikrofonu i drogą kablową wprost z rozgłośni radiowej.

Urządzenia tego typu, zwane dzisiaj rozgłościami przewodowymi albo radiowętłami zdobyły z czasem dużą popularność dzięki swej tanioci i dużym w zasadzie możliwościom technicznym. Rozpowszechnione są szeroko na całym świecie. Spotykamy tu systemy różnie rozbudowane, od skromnych jednoprogramowych do wieloprogramowych, na własnej sieci napowietrznej, skablowanej, lub na sieci prądowej.

Należycie zbudowana rozgłośnia przewodowa może przekazać dobrze program krajowy do setek głośników mieszkaniowych. Warunkiem jednak bardzo istotnym jest by sama posiadała ten program nieskazony.

Odbiornik antenowy nie może jednak zapewnić dobrego programu nawet krajowego.

Otóż sytuację ratuje właśnie radiofonia przewodowa nośna.

Falujące druty

Wykorzystujemy istniejące wszędzie linie telefoniczne. Obarczamy je nową dodatkową funkcją. Poza przenoszeniem rozmów telefonicznych i znaków telegraficznych, przenosić będziemy na liniach telefonicznych również programy radiowe. Każda para przewodów między miastami będzie więc w ten sposób wykorzystana wielokrotnie dla różnych służb technicznych. Bez wzajemnych przeszkód.

Wiemy, iż na jednej parze przewodów możemy, po zastosowaniu odpowiednich urządzeń elektrycznych, przeprowadzić równocześnie kilkanaście rozmów telefonicznych. Np. 20 abonentów dwu miast może równocześnie prowadzić rozmowy telefoniczne ze sobą, korzystając z jednej pary przewodów łączących te miasta. Analogicznie na jednej antenie przychodzą do naszego odbiornika programy tylu stacji radiowych.

Odpowiednio rozbudowany odbiornik potrafi poszczególnie stacje, poszczególne kanały oddzielić od siebie. Podobnie rzecz się ma przy wielokrotnym wykorzystaniu przewodów telefonicznych.

Programy radiowe przesyłamy po przewodach również systemem tzw. częstotliwości nośnych. Po prostu wysyłamy na linie telefoniczne fale radiowe różnych długości. Jedne z nich pracujące w służbie poczty przenoszą tylko rozmowy telefoniczne, inne — programy radiowe. Ta mieszanina różnych napięć o różnych częstotliwościach zostaje przenoszona po drutach. W miejscu odbioru poszczególne kanały nośne zostają oddzielone, prądy mowiały czy muzyczne odpowiednio wykorzystane. Każda służba, każdy tor nośny ma swą odrębną częstotliwość rozgłoszającą.

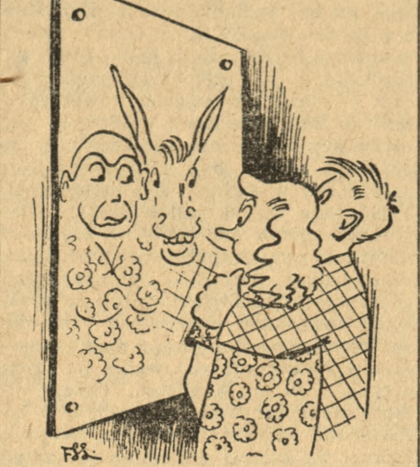
Na zakresie długich fal radiowych — 1200 — 2000 m — (250 — 150 kc) wyznaczono tory dla trzech stacji radiofonii przewodowej nośnej. Każda może oczywiście nadawać odrębny program. Prądy nośne tych stacji, nałożone na linie telefoniczne, przenoszą audycje radiowe od stacji do stacji, od miasta do miasta. Wytrano długie fale, aby audycje te móc odbierać zwykłymi odbiornikami radiowymi. Przy pomocy linii telefonicznej podłączonej odpowiednio do aparatu radiowego odbieramy wspomniane trzy stacje radiofonii przewodowej.

Jakaż jest ta technika drutowa, czym różni się od zwykłej radiofonii antenowej, jakie wyniki otrzymano po jej zastosowaniu?
Ale o tym — następnym razem.
FRANCISZEK CIERNIOCH

Zoologia miłości

Proszę państwa, ja naprawdę jestem przeciwnikiem chodzenia do ogrodu zoologicznego. Wprawdzie za tanie pieniądze można przyjemnie spędzić czas i porównać podobieństwo małpy „do tej mecenasowej Przytyckiej”, ale to niestety jest niczym, jeżeli się weźmie pod uwagę zgubny wpływ, jaki przebywanie w zwierzyńcu wywrzeć może. Oczywiście tylko ludzie o stalowych charakterach mogą się ustrzec od podobnych wpływów i tylko tacy mogą bez przeszkody dla przyszłego swego życia chodzić codziennie oglądać małpy, niedźwiedzie, czy hipopotamy.

Jestem pewien, że temu właśnie wpływowi przypisać należy, iż w na-



rzczeńskich już czasach młodzieńco mówi najdroższej:

— Mój ty „słowiku” najstodszy! — „Słowik” przytula się wtedy, no bo słowa te są przepojone uczuciem i w ogóle pięknie brzmią, nie przeczuwając jednak, że później...

Ale przestrzegamy pewnej kolejności w opowiadaniu wypadków. Na słowiku nie kończy się repertuar pieśzczyłiwych słów narzeczeńskiej pary. On będzie ją nazywał „wróbelkiem”, „małpką”, ona jego — zależnie od bujnej fantazji — „szympansem”, „niedźwiadkiem”. Niekiedy westchnie sobie, a tuląc się do niego, wyszepta:

Utwory satyryczne

O gwiazdach

Więcej gwiazd ciemnych „świeci”
[stęsknionej ludzkości,
Niż „zaślepia” ją jasnych — stąd
[wojny i złości...

Nowe przekleństwo

Zamiast: ścierwo — ty konserwo!
Jeżeli bardziej drańska — amerykan-
[ska...
Stanisław Witowski



— Słyszała pani wódka podrożała.
— Cóż mnie to obchodzi jestem wdową.



— Przepraszam czy nie razi pania dym?
— Nie... ale dlaczego
— Bo hotel się pali.

Fraszki

Patrząc na miesięczną pensję...

Natura ludzka jest słaba:
Bo, mówiąc między nami,
Kto bokiem dziś nie dorabia,
Ten zwykle robi bokami.

Na pełnoletnią

Czemu ze ślubem zwlekasz — spyta-
ła —
Dwadzieścia jeden lat mam bez mał...
Wiem, pełnoletnią jesteś — rzekł
drwiąco —
Lecz ja wolalby pełnogorącą.
MIK

— Prawda, że mój „osiółek” (bardzo uczuciowo powiedziane) kocha swoją sarenkę...?

On mówi, że kocha i wszystko jest w najlepszym porządku. Potem ewentualnie idą do kina i są bardzo zakochani. Ale tylko na razie jest wszystko w porządku. Bo po ślubie sytuacja zmienia się radykalnie. „Słowik”, „wróbelek”, „sarenka” itd. zostają wycofane zupełnie z pieszczyłiwego repertuaru. Rozmowy wtedy bywają zupełnie inne:

— Przecież ty w tej sukni wyglądasz, jak żyrafa w ogrodzie zoologicznym.

— Ty słoniu (!), ty się wcale na tym nie znasz!

Już te dwa wyżej przytoczone zdania świadczą niezbicie o tym, że takie rozmowy nie należą do najprzyjemniejszych chwil w małżeństwie, aczkolwiek i do nich można się z czasem przyzwyczaić. Niekiedy w przystępie dobrego humoru żona powie mężowi o swoich przyjaciółkach:

— Wiesz, ta małpa Zadrapska sprawiła sobie takie same bucki, jakie ty mi sprezentowałeś na imieniny.

Albo o Ziućce, która wczoraj była w teatrze, uczesana według ostatniej mody:

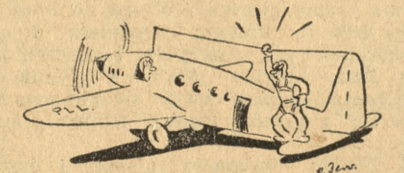
— Ona była podobna zupełnie do koczkodana!

Zdarza się także, iż toczy się rozmowa o kolegach męża:

— Niekiedy odnieść można wrażenie, że ten Wyrzynański jest gorylem ubranym w dobrze skrojony garnitur. Pomijam już to, że ma on maniery hipopotama, a tańczy, jak niedźwiedź.

Jeżeli mąż spróbuje wziąć w obronę Wyrzynańskiego, na pewno żona szybko zakończy dyskusję stwierdzeniem: — Nie myślałam, że jesteś aż takim osem!

Mąż prawdopodobnie przyrzeknie sobie w tej chwili, że nie pójdzie już nigdy z żoną do ogrodu zoologicznego, co mu jednak już nic prawdopodobnie nie pomoże. Mógł o tym wcześniej pomyśleć...



Sila przyzwyczajenia... czyli gdy konduktor tramwajowy zostaje zaangażowany do P. L. L. „Lot”.

Posiedzenie wielkiej wagi

Wiele zagadnień z serii „palących” czeka jeszcze, podobnie jak niejedno przedsiębiorstwo, na rozwiązanie. Ale o wiele łatwiej rozwiązują się sznurówki w butów lub języki po butelce Vermouthu, niż te właśnie kwestie, o których poniżej.

Z zadowoleniem tedy należy powitać fakt, że pomimo nadchodzących upałów zwolane zostanie w najbliższych dniach specjalne dodatkowe nadzwyczajne statutowe posiedzenie plenium Rady Miejskiej w Chłapkowicach Dolnych. Na posiedzeniu tym zapadnie szereg nad wyraz doniosłych uchwał. Porządek obrad jest następujący:

1. Zagajenie i powitanie gości 1-minutowym milczeniem;
2. Zaprzysiężenie nowych 8 radnych, przyjętych w miejsce dwóch ustępujących członków Rady;
3. Sprawa założenia grywny w wysokości 500 zł od każdego radnego za spóźnienie się na posiedzenie Rady — refer. ob. Przewodniczący;
4. Uchwalenie przepisu ustalającego czasokres trwania przemówień o kilkunastu minutach na maksimum 2 i 1/2 godziny, a w przeddzień niedziel i świąt — na 2 godziny — refer. ob. Gardziołek;
5. Ograniczenie ilości uroczystych akademii ku czci 89 rocznicy wynalezienia automatycznej tyżki do butów — refer. ob. Delura;
6. Wystanie zbiorowej petycji do Państw. Instytutu Meteorologicznego o spowodowanie, by w niedziele i święta, z uwagi na wielką ilość wycieczek za miasto, panowała słoneczna, ciepła pogoda ze skłonnością do upałów, o umiarkowanych wiatrach zachodnich — refer. ob. Wicherek;

7. Zaciągnięcie z kasy Banku Powiatowego długoterminowej pożyczki w wysokości 5 670 000 zł na remont, naprawę, odnowienie i wyremontowanie skrzynek do papierów i odpadków przy drodze publicznej nr 19 na odcinku od kiosku mlecznego ob. Fajęłka do Miejskich Zakładów Spożycia Śmieci (ca 48 m) — refer. ob. dr Wszak;

8. Uchwalenie memoriału do Min. Kultury i Sztuki w sprawie urządzenia w miesiącu wrześniu Festiwalu Kultury i Gimnastyki w Chłapkowicach Dolnych w połączeniu z ogólnopolskim Zjazdem Pow. Związku Wędkarzy;

9. Przemianowanie — w ramach akcji repolonizacyjnej — ulicy Niemcewicza na ulicę Wincentego Pola.

CZĘŚĆ II (POSIEDZENIE TAJNE)

10. 10-minutowa przerwa (uwaga: zimny buiet na miejscu);

11. Uroczyste zakończenie obrad i obiad.

Tak starannie i wyczerpująco opracowany porządek obrad daje gwarancję a nawet rekwizy, że posiedzenie spełni swój cel. A jeżeli nie spełni, będzie można próbować jeszcze raz. Aż do pomyślnego skutku. Nie ma bowiem rzeczy niemożliwych na świecie. Rada winna znaleźć na wszystko radę. Jesteśmy głęboko przekonani, iż ojcowie stoł. m. Chłapkowic nie założą rąk, lecz założą co najmniej trzy komisje, które zajmą się rozpatrzeniem całokształtu tych spraw.

Należy żywić nadzieję, że chociaż trudności piętrzą się na każdym kroku, w pomyślnym rozwiązaniu tych kwestii radni nie pozostaną bezradni.

— refer. ob. Wicherek; MIK

Z teki karykaturzysty

Pplk. Konrad Janasek, członek Woj. Rady Narodowej, prezes Woj. Zw. Walki Zbrojnej o Niepodległość i Demokrację.



Dobry sposób

Król francuski Henryk IV (1589—1610) zabronił tak kobietom jak i mężczyznom noszenia jako ozdoby złota i srebra. Ażby zakaz nie pozostał tylko na papierze, wystylizował następująco: „Zakazujemy jak najsurowiej wszystkim naszym poddanym wszelkiej plci, pochodzenia i zawodu na wszystkich ziemiach nam podległych noszenia złota i srebra jako ozdoby na sukniach — w jakikolwiek sposób i pod jakimkolwiek pretekstem. Zakaz ten nie obejmuje tylko kobiet złego prowadzenia się, oraz wszelkiego rodzaju przestępstw, tych bowiem osób nie zamysłamy zaszczylić naszą uwagą”.

Jakkolwiek w rozporządzeniu wyznaczono termin jego ważności dopiero po upływie miesiąca, to jednak już nazajutrz po ogłoszeniu, w całej Francji ani z kobiet, ani z mężczyzn nie nosił niki złota i srebra.

Wczasy

W Szklarskiej i Kudowie
Ciasno. Sezon właśnie.
A w Krynicy, kto wie,
Może jeszcze ciasniej?

Wisła pełna wkrótce,
Gwarne Międzyzdroje,
Tłumy w modnej Uście,
W Ciechocinku roje...

Więc tak myślę czasem,
Cierpką robiąc minę:
Gdzie jechać? Na wczasy,
Czy na wypoczynek?

MIK

Tanie domki z demobilu



Naciąłem się, kupując ten stary wagon kolejowy — nie zauważyłem że jest „dla niepalących”.



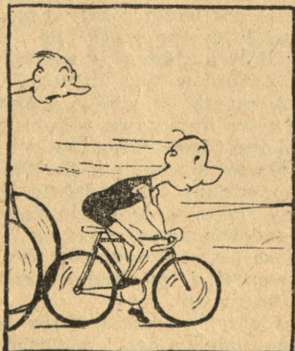
Teraz to już wiem skąd mój synek wziął żagle do swej łódki!...

Zaby między sobą

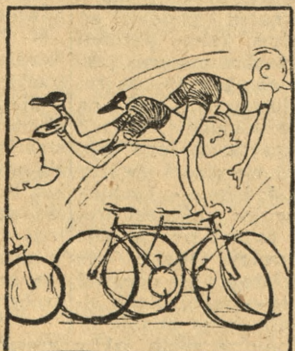
Raz spotkały się dwie żaby;
I spytała żaba żabę:
„Co ci się ostatnio stało
Żeś straciła swe powaby?”
Na to ta odpowiedziała
Niecico tym zagenowana
(Bo dopiero coś z rok miała)
„Ja spodziewam się bociana”.

Włodzimierz Scisłowski

Nie śmieję się, bratku, z cudzego wypadku



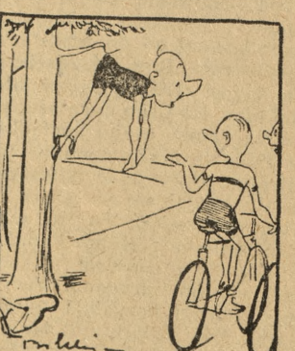
Słivka, sportowiec dzielny,
[tym razem
W biegach kolarskich mknie
[pejnym gazem.



Dwóch przed nim walcząc
[o prym zuchwale
skończyło wysięg — salto
[mortalnem.



Nareszcie pierwszy! — z
[uradowaniem
jeszcze w tył spojrział, pę-
[dząc na kamień.



I — jak wyleciał jak z pro-
[cy — nie wie —
biedak wyścigi skończył na
[drzewie.